KS. ALOIZY WAROL T.J.

Miłosierny Samarytanin

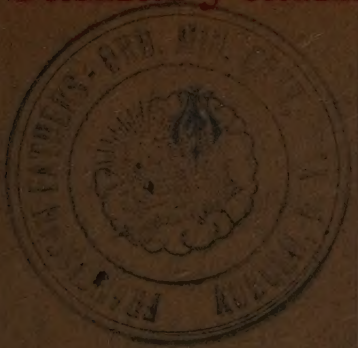

Berkeley
LIBRARY OF THE UNIVERSITY OF CALIFORNIA

Berkeley
LIBRARY OF THE UNIVERSITY OF CALIFORNIA

BOSKIE SERCE W PRZYPOWIEŚCIACH.

GOSPODA MIŁOSIERNEGO SAMARYTANINA.
(Fotografja z Ziemi Świętej.)

Miłosierny Samarytanin

—czyli—

HISTORJA BOSKIEGO SERCA.

Opracował

X. ALOJZY WAROL T.J.

Redaktor Posłańca Serca Jezusa i misjonarz.

Nakładem redakcji „Posłańca Serca Jezusa"

w Nowym Jorku—1924 r.

Za specjalnem upoważnieniem
archidiecezjalnej władzy nowojorskiej.

BT
378
G6
W37
1924
MAIN

RZUT OKA NA CAŁOŚĆ KSIĄŻECZKI.

Autor wydał już poprzednio książeczkę pod ogólnym tytułem Boskie Serce w Przypowieściach. Rozwinął w niej siedem przypowieści w trzydziestu naukach, szukając w nich pobudki do czci Boskiego Serca. Te mianowicie przypowieści objaśnił: Ziarno gorczyczne.—Zakwas czyli zaczyn. — Pszenica i kąkol. — Skarb ukryty. —Kosztowna perła. — Niewód czyli sieć. — Dobry Pasterz.

Obecna książeczka jest dalszym ciągiem jego pracy w tym samym kierunku. Jedną tylko przypowieść o Miłosiernym Samarytaninie wziął autor pod rozbiór i wyciągnął z niej samej 31 nauk. Osoby i inne rysy w tymże obrazie dostarczyły mu przedmiotu do rozważania. I tak: Patrząc na osobę Miłosiernego Samarytanina wysnuł kilka nauk o miłości bliźniego, zestawił ją z miłością Bożą i o miłości nieprzyjaciół, rozwinął wiele myśli i narzucił sporo przykładów. — Chory, pobity przez

zbójców, naprowadził na myśl o miłosierdziu względem biednych i chorych, dostarczył pobudek, dlaczego się im mamy poświęcać. — Postacie starozakonnego kapłana i lewity obudziły wstręt do samolubstwa, wprowadziły głębiej w źródła tej wady, wskazały, gdzie się gnieździ i jak się jej pozbywać. Stąd nauki o umartwieniu władz duszy, zmysłów i ich zachcianek. — Nawet zbójce nie uszli, nie zostawiwszy zbawiennych refleksyj. — Droga z Jerozolimy do Jerycha, środki kuracyjne chorego zostały wykorzystane dla leczenia ran duszy z zachętą do czci Boskiego Serca.

Znajdzie tu czytelnik nowe myśli, przez nikogo prawie nieporuszane, wprowadzone przystępnie w szczegóły życia codziennego. — Znajdzie chory, przykuty do łoża boleści, prawdziwą duszy pociechę do znoszenia dolegliwości, a ci, co go pielęgnują, zachętę do samarytańskiej około niego troskliwości. — Znajdą i kaznodzieje tematy i motywy do przemówień w różnych okolicznościach, zwłaszcza w pierwsze piątki lub w pierwszą niedzielę miesiąca.

MIŁOSIERNY SAMARYTANIN

SPIS NAUK.

Stroną:

I. Miłosierdzie Boskiego Serca względem ludzkości 9

II. Przymioty miłości bliźniego czyli, jakie powinna mieć zalety miłość bliźniego? 12

III. Miłość bliźniego — jakie powinna mieć zalety? (Ciąg dalszy) 17

IV. Miłość bliźniego — w czem jest podobna do miłości Boga? (Pierwsze dwa rysy podobieństwa) 22

V. Miłość bliźniego — w czem jest podobna do miłości Boga? (Trzeci rys podobieństwa) 26

VI. Miłość bliźniego — w czem jest podobna do miłości Boga? (Dwa ostatnie rysy podobieństwa) 30

VII. Miłość nieprzyjaciół. (Przykł. B. Serca) 33

VIII. Miłość nieprzyjaciół (Parę przykł.) ... 37

IX. Miłość nieprzyjaciół (Inne przykłady) 41

X. Miłość nieprzyjaciół (Jak ich miłować) 46

XI. Miłosierdzie Boże nad grzesznikiem .. 50

XII. Litość nad biednymi. (Przykład św. Jana Jałmużnika) 57

XIII. Miłosierdzie względem chorych. (Pobudki ze względu na chorego) 62

XIV. Miłosierdzie względem chorych. (Pobudki ze względu na otoczenie chorego) 67

XV. Łoże boleści jest szkołą chrześcijańskiej mądrości, czyli, czego uczy choroba? 70

XVI. Łoże boleści jest szkołą chrześcijańskiej mądrości, czyli, czego uczy choroba? (Ciąg dalszy) 77
XVII. Starozakonny kapłan i lewita. (Dlaczego nie chcieli ratować pobitego?) .. 82
XVIII. Jak zwalczać samolubstwo? (Starozakonny kapłan i lewita) 87
XIX. Co to jest umartwienie i na co służy? (Starozakonny kapłan i lewita) 92
XX. Umartwienie rozumu. (Starozakonny kapłan i lewita) 98
XXI. Umartwienie pamięci. (Starozakonny kapłan i lewita) 103
XXII. Umartwienie woli (Starozakonny kapłan i lewita) 108
XXIII. Umartwienie wyobraźni. (Starozakonny kapłan i lewita) 113
XXIV. Umartwienie złych skłonności. (Starozakonny kapłan i lewita) 119
XXV. Umartwienie zmysłów. (Starozakonny kapłan i lewita) 123
XXVI. Umartwienie języka. (Starozakonny kapłan i lewita) 129
XXVII. Zbójce 134
XXVIII. Niebezpieczna droga 140
XXIX. Wino i oliwa, czyli jak leczyć rany duszy? 144
XXX. Zbliżanie się i ran obwiązywanie 148
XXXI. O wydawaniu nadto (nad zwyż) 153
Akt poświęcenia się rodziny Najśw. Sercu Jez. .. 158

Miłosierny Samarytanin.

I.

MIŁOSIERDZIE B. SERCA WZGLĘDEM LUDZKOŚCI.

Treść przypowieści o Miłosiernym Samarytaninie. Zbawiciel odpowiada biegłemu w zakonie na pytanie: „A któż jest moim bliźnim?", przytaczając tę przypowieść. Pewien Izraelita, jadąc z Jerozolimy do Jerycha został obrabowany i zraniony przez rozbójników. Ominął go przechodzący koło niego kapłan i lewita, a Samarytanin, jego wróg, wziął go w opiekę, obwiązał rany, nalał oliwy i wina, posadził na swoje bydlę, zapłacił w gospodzie za niego i.t.d. Kończy Pan Jezus: „Idźże — i ty czyń podobnie" t.j. okazuj swą czynną miłość każdemu potrzebującemu, bez różnicy pochodzenia, stanu, nawet wrogowi, bo wszyscy są twoimi bliźnimi. Zobacz Ewangelję św. Łukasza X. 29-37.

I. Smutne położenie ludzkości.

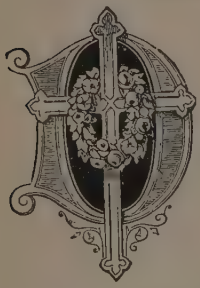

ROGA do Jerycha. Co to jest ludzkość? Wszyscy ludzie od początku świata z Adamem na czele. Wyszliśmy z nim z Jerozolimy. On niósł Boski majątek dla nas. Jerozolima znaczy tyle, co miasto Boże, miejsce spokoju. I byłoby i nam i Adamowi dobrze w raju, gdyby się nie było chciało pierwszym rodzicom pojechać do Jerycha. Jerycho oznacza to samo, co księżyc. A księżyc co oznacza? Zmienność, skłonność do grzechu. Skoro więc Adam do Jerycha się puścił czyli do grzechu dał się skłonić, wpadł między zbójce. Co to za jedni? Złe duchy, kusiciele. Co mu zabrali? Dziedzictwo Boże, a z niem i przyjaźń Bożą, pierwotną

sprawiedliwość, spokój sumienia i nieśmiertelność. A rany jakie? W rozumie zaciemnienie, we woli większa skłonność do złego niż do dobrego, w głowie mgła pychy, w oku nienawiść, na czole bezczelność, usta obłożone jadem języka, w sercu jakby zapalenie od namiętności, podobna jak w ranach dokuczliwość od gorączki. Leżał Adam i ludzkość na tej drodze, jakby nieżywi.

K t o o m i n ą ł? Kapłan lewita t.j. stary zakon. Widzieli nędzę, zwracali uwagę na nieszczęście, ale nie mogli pomóc. Prawa Starego Zakonu nie doskonałe, ofiary przez się nie miały siły zbawczej. Mogła pomoc przynieść tylko pełna wiara w przyszłego Zbawiciela i w Jego zasługi.

II. Zjawienie się miłosiernego Samarytanina i Jego opieka.

Przybył Miłosierny Samarytanin w osobie Syna Bożego. Do kogo przybył? Do wrogów, co go nienawidzili. „Przybył do swoich, a swoi Go nie przyjęli." Czy się tem zraził? Zlitował się w B. Sercu nad nami, przyjął, oprócz grzechu, wszystkie słabości nasze, płakał nad nędzą, pozbawił się czci, sławy dla nas, przyjemności, nawet życia.—Olej pocieszających nauk wlał w rany i środki zbawienia, wino Krwi na Krzyżu i w Eucharystji podał. — Rany obwiązał t.j. przez czyste i możne prawo więzy nałożył na namiętność, z których sączyła się ropa grzechu. — Włożył nas na zwierzę to znaczy podniósł godność człowieka, bo przez

zasługi najświętszego Człowieczeństwa czyli natury ludzkiej do nieba nas zaprowadził. — W jakiejto gospodzie nas umieścił? To Kościół, najbezpieczniejsze miejsce schronienia, w którem gospodarze, czyli szafarze łask Bożych, kapłani, mają dalszą troskę nad nami. — Co znaczą dwa denary, które zapłacił za nas? To Pismo św. i Tradycja, czyli Podanie, któremi w gospodzie Kościoła zwierzchnicy duchowni rozporządzają. — Nasz Samarytanin więcej jeszcze zostawił, bo swoją gospodę darami cudów, odpustów i innych łask nadzwyczajnych wyposażył.

Niebaczna ludzkość po tylu dowodach opieki Bożej, znowu naraziła się na pobicie i rany, które jej nowocześni rozbójnicy zadali swojemi bezbożnemi pismami i herezją. Miłosierny Samarytanin spieszy z nowem lekarstwem, które w Swem B. Sercu na późniejsze czasy zachował. Odsłania je i podaje przez św. Małgorzatę Marję i jej spowiednika, W. O. Klaudjusza Colombier'a. I ten balsam zbawienny pokrzepił ludzkość w znacznej mierze i mógłby wszystkie rany zagoić, gdyby ludzie chcieli z niego korzystać. My, czciciele B. Serca, przyjmijmy rolę samarytanek, co pomagają lekarzom, przykładając maść Bożą chorym na duszy, podnosząc ich ze ziemi grzechu do wyżyn B. Serca.

II.

PRZYMIOTY MIŁOŚCI BLIŹNIEGO.

Jakie powinna mieć zalety miłość bliźniego?

PRZYPOWIEŚĆ o miłosiernym Samarytaninie jest historją Boskiego Serca bez przesady i naciągania. Uczy miłości względem wszystkich, wszędzie i zawsze. Uczy kochać całą ludzkość, jak to widzieliśmy w poprzedniem rozważaniu na wzorze B. Zbawiciela. Zachęca do miłości wrogów, w czem Chrystus niezrównany dał przykład. Określa własności czyli przymioty tejże cnoty, co obecnie weźmiemy pod rozwagę. Jakąż więc powinna być miłość bliźniego?

1) P o w s z e c h n ą. Nie odróżnia, czyto rodak, czy współwyznawca, czy wróg czy przyjaciel. Wystarczy jej, że jest współczłowiekiem i obraz Boży na duszy nosi. — Chociaż ma bardzo szerokie serce i wszystkich w niem chce ukryć, czyni to jednak nie na ślepo, nie nierozumnie, nie bez odróżnienia, ale według zasad rozsądku i praw Bożych. Pamięta mianowicie o tem, że swoi — czyto rodacy czy krewniacy czy współwyznawcy — mają pierwszeństwo do jej usług, ale, gdyby inni, nieswoi

byli w większej potrzebie, im się pierwej oddaje i poświęca. Pamięta i na to znane przysłowie: „S w ó j d o s w e g o," ale dobrze rozważa, co to za „swój," czy wart wsparcia, obsługi, protekcji i patronatu, czy też nasze się nim zajęcie, pomoc nie wyjdzie i nam i jemu na niekorzyść i zgubę, czy go nie rozzuchwali, nie rozleniwi i nie upodli? Swój kupiec, swój rzemieślnik, swój agent lub dostawca powinienby mieć pierwsze prawo do naszej miłości i protekcji, lecz, jeżeli jest gnuśny, niedbały, nierzetelny, niesumienny, niewart naszego poparcia i dziwić się nie powinien, że nasza miłość i życzliwość omija go i zwraca się do obcych, którzy nam i lepszego materjału dostarczają i lepiej obsłużą i większej zapłaty nieżądają.

Boskie Serce ofiarowało nam Swoją miłość i usługi przed wiekami, kiedy jeszcze nie było ani Żydów, ani Samarytanów, ani Polaków, ani żadnego innego narodu. Ofiarowało się, wiedząc, że mało ludzi z Jego usług skorzysta, a wielu nią wzgardzi. Ofiarował się Zbawiciel najpierw swoim rodakom, „bo przyszedł do synów Izraela," lecz, gdy ci Nim wzgardzili, przelał Swoje zasługi i na inne narody przez apostolską pracę Swoich uczniów i całego Kościoła. Za wzorem i poleceniem Mistrza Oblubienica Jego, Kościół św., skupia wszystkich pod Jego sztandar, jednoczy w tej samej wierze, w jednym zarządzie utrzymuje, którego widomą głową jest biskup rzymski, namiestnik Chrystusowy. A jednoczy nie na to, aby rugo-

wać i zacierać cechy narodowościowe, język i obyczaje ojczyste, ale na to, aby uprzedzenia narodowe i rasowe znosić, rany nienawiści wzajemnej koić i goić, olej wspólnej i tej samej nauki i Sakramentów w dusze wlewać.

Powie ktoś, że socjaliści, komuniści i bolszewicy to samo czynią, chociaż się Chrystusa wypierają. Skupiają wprawdzie narody, ale w innym celu i innymi środkami, niż nasz Zbawiciel. Celem ich jest, aby złączyć i uzbroić klasy robocze wszystkich krajów przeciw kapitalistom i Kościołowi, wlać w nie nie kojącą samarytańską oliwę, ale ocet i jad szatańskiej nienawiści klasowej. Środkiem ich jest to, aby pozbawić ludzi Boga i religji, wytrącić z rąk wszelką prywatną własność, rozerwać węzły małżeńskie, wygasić ognisko domowe, nałożyć jarzmo tyranji. Narody, któremi zawładnęli, na własnej swojej skórze doświadczyły i zobaczyły, jak wygląda ta powszechna miłość socjalistów i bolszewików i w ucisku, którego znieść nie mogą, wzdychają do lepszych czasów. W Rosji uciśnione pospólstwo we wielu miejscach zwraca się życzliwie do swoich duchownych schizmatyckich, którymi przedtem gardziło, bo widzi, że ich wpływ i nauka o wiele lepsze rodzą owoce, aniżeli tyrańska opieka bolszewików.

Lecz miłość, choćby była powszechną, powinna być także

2) C z y n n ą i w i e l k o d u s z n ą. Taką okazał Samarytanin. Nie pyta się, co to za nędzarz — nie mówi: Nie mam czasu, droga

pilna, daleka — nie wiele mam zapasów wina, oliwy i pieniędzy, by mu opiekę zabezpieczyć. Zabiera się do czynu wielkodusznie. Dla wroga przerywa drogę, pozbawia się zapasów i wygody, bo swoje nawet zwierzę oddaje choremu na usługi.

W zastosowaniu do B. Serca wszystkie te akty dobroczynne, które Samarytanin wykonał, widzimy swoim sposobem w Jego życiu w stopniu zadziwiającym i niepojętym. — W zastosowaniu do nas widzimy wielkie braki w miłości naszej ku bliźniemu. Wobec wroga naśladujemy nieraz owego w przypowieści starozakonnego kapłana i lewitę. Często cieszymy się w duchu z jego nieszczęścia. Zemsta doznaje ulgi, nie mogąc się zdobyć na akt współczucia i pomocy. Najstosowniejsza to właśnie pora, by wroga zmienić na przyjaciela, gdy w jego nieszczęściu do niego serdecznie się zwrócimy. On się zawstydzi, upokorzy, uzna się pokonanym i odwzajemni życzliwością. Względem innych nieszczęśliwych współbraci zachowujemy się albo obojętnie, albo się wymawiamy, że nam trudno coś dla nich zrobić, bo się niechcemy narzucać, nie wiemy, jakby nasze usługi przyjęli lub że to do nas nie należy. A gdy nam już koniecznie wypada coś uczynić dla nieszczęśliwego współbrata, musi widzieć lewica, co sprawiła prawica, choćby ten trud był tylko połowiczny i powierzchowny. Wielu ludzi nędzne prowadzi życie, zanurza się w rozpaczy, odwraca się od Boga i od prawdziwej wiary, nie może się z ran

wyleczyć, których się niebacznie nabawiło, nie może się podźwignąć z nędzy, bo im na drodze życia nikt nie chce skutecznie ręki podać. Wieluby powstało i wyzdrowiało dla rodziny, dla społeczeństwa i dla Boga, gdyby ich napotkał miłosierny Samarytanin.

Są jeszcze inne zalety i przymioty miłości — o czem się w dalszym ciągu powie.

III.

MIŁOŚĆ BLIŹNIEGO.

Jakie powinna mieć zalety miłość bliźniego?

(Ciąg dalszy.)

DWIE pierwsze zalety widzieliśmy na wzorze Miłosiernego Samarytanina — mianowicie: Miłość bliźniego powinna być powszechną, czynną i wielkoduszną.

Trzecią jej cechą jest bezinteresowność. Jeżeli ma na oku jakie widoki, to nie własną korzyść, nie chwałę osobistą, dobrobyt materjalny, ale chwałę Bożą, zbawienie duszy bliźniego, jego niedolę, życzliwość i szlachetne uczucia. Z jakiej innej przyczyny i pobudki mógł Samarytanin pospieszyć na ratunek? Czy mógł się spodziewać wynagrodzenia od obdartego, poranionego nędzarza? Zapewne i starozakonny kapłan z lewitą byliby nie żałowali trudu, gdyby byli widzieli, że się im ta fatyga opłaci. Może się spodziewał, że go będą rodacy wielbić za ten szlachetny uczynek? Przeciwnie, groziła mu nagana i przykre słowa za to, że wrogowi rękę podaje. W dzisiejszych czasach tem się nawet

można narazić swoim i uchodzić za sprzymierzeńca wrogów ojczyzny, że się będzie podnosiło dodatnie i godne naśladowania cnoty u naszych nieprzyjaciół, jakby u nich nic dobrego nie było.

Wyższe zatem pobudki nim kierowały. A jakie? Kochał więcej duszę niż ciało, a w duszy przymioty i dary stałe, gruntowne — a nie przypadkowe, chwilowe i łudzące. — Jak to trzeba rozumieć?

Kochał duszę dla Boga, a ciało dla duszy. Lepiej to pojmiemy, patrząc na obraz Boskiego Samarytanina. Zbawiciel, rozpoczynając Swoją pracę, powołuje do współudziału Apostołów. Czy powołuje ich dla uprzyjemnienia życia i im i Sobie? Nie dla ich i Swoich wygód, ale dla uświątobliwienia ich duszy, dla wyrobienia ich na mężów apostolskich, zahartowanych na wszelkie dopuszczenia. Czy im obiecuje życie wesołe, czy im przepowiada raj na ziemi, jak socjaliści i bolszewicy swoim? Czy mówi, że na ich cześć będzie potomność stawiała katedry, bazyliki, posągi, wybijała medale, że ich groby będą ściągały pielgrzymki z odległych krajów? Przeciwnie. Nakreślił im program bardzo trudny, po ludzku mówiąc, zniechęcający. Zapowiada, że ich będą wodzić po sądach, chłostać, głodzić, na śmierć skazywać. (Łuk. 12.) Niech ciało cierpi dla dobra duszy!

Nas też przez to poucza, abyśmy, ratując bliźniego w nędzy, o duszę jego więcej dbali. Podajmy mu posiłek, odzież, schronienie, ale

nie spuszczajmy z oka jego potrzeb duchownych. Służmy mu radą, zachęcajmy do spowiedzi, przygotowujmy go na zmienne losu koleje. Niech nie służy Bogu dla chleba, a w braku chleba niech Boga nie opuszcza. To znaczy kochać więcej duszę, niż ciało.

A co znaczy, że trzeba w duszy więcej kochać dary i przymioty stałe, gruntowne, a nie przypadkowe, chwilowe i łudzące? Co to są te ostatnie? Do nich można zaliczyć majątek, powab ciała, ogładę zewnętrzną, szlachetność rodu, świeckie wykształcenie i t. p. Czy one rodzą i zapewniają przyjaźń i miłość stałą, gruntowną? Często pod ich płaszczykiem kryje się fałsz, obłuda i wyzyskiwanie rzekomego przyjaciela. Widzimy taką przyjaźń pomiędzy pochlebcami, karciarzami, pijanicami i innymi wspólnikami, którzy się zbliżają do siebie, łączą w kluby, bo są sobie potrzebni do niecnych celów. I tak Judasz zaprzyjaźnił się z Żydami, bo się od nich spodziewał pieniędzy za zdradę Zbawiciela. — Piłat zbliżył się do Heroda, aby zgubić P. Jezusa. Tego rodzaju przyjaciele podobni są do ptaków przelotnych, które na zimę od nas odlatują do ciepłych krajów — do pszczół, które goszczą na kwiatach, aby je obrać z miodu — do podróżnych, co napotkają na drodze drzewo pełne owoców. Obijając je z nich, spieszą dalej. — Prawdziwa, bezinteresowna miłość bliźniego nie opiera się na tych chwilowych i przypadkowych darach, ale na s t a ł y c h, t r w a ł y c h, g r u n t o w n y c h. Jakie to

są? Dobre, religijne zasady, prawość charakteru, oparta na fundamencie cnoty. Te drugie sprawiają, że przyjaciele wspierają się wzajemnie, obcują szczerze, bez obłudy, uprzyjemniają sobie życie, w nieszczęściu dopomagają sobie na wzór Miłosiernego Samarytanina. Miłość związana cnotą, to laska związana w pęk z kilkoma innemi, których razem niełatwo złamać. Jej obowiązki łączą się ściśle z obowiązkami względem Boga. Przyjaciele odnajdą się i w niebie, gdzie jeszcze ściślejszy związek połączy ich na wieki w Boskiem Sercu.

Wreszcie miłość bliźniego ma i tę zaletę, że jest:

W y t r w a ł ą. Właśnie taką okazał Samarytanin. Czyn miłosierdzia wykończa zupełnie, całkowicie. Nie zostawia na pół uratowanego jego losowi, ale wynajmuje gospodę, opłaca usługę i obiecuje dodać, gdyby było potrzeba. Prawdziwa miłość nie polega na chwilowem wzruszeniu serca, bo na to stać i obłudnika, nie posługuje się półśrodkami, aby się tylko pozbyć, a uchodzić za dobrodzieja, ale stale, niezmordowanie, zapobiegliwie się poświęca. Co więcej! Zapuszcza się nawet po za granice grobu, bo silniejsza od śmierci: „Mocna jest jako śmierć miłość." (Pieśń nad Pieśń. 8. 6). Śmierć nie gasi jej ognia, nie zaciera jej pamięci, ale duszą duszy zmarłego towarzyszy aż do czyśca, niosąc potrzebną pomoc. Św. Franciszek Salezy, wzór miłości bliźniego, ubolewał i ganił tych, co się zbytnim żalom na pogrzebach oddają po stracie drogich osób.

Zwykł mawiać: „Na co te żale, na co to przygnębienie! Przecież nasi drodzy nie są daleko od nas, nie znikli nam na zawsze, są bliżej Boga. Sama śmierć nie jest nieszczęściem — tylko zła niem jest!" — Zachęcał, aby więcej poświęcano pamięci duszom w czyścu w częstych o nich wspomnieniach, nawet w zwyczajnych mowach i pogadankach.

IV.

MIŁOŚĆ BLIŹNIEGO — W CZEM JEST PODOBNA DO MIŁOŚCI BOGA?

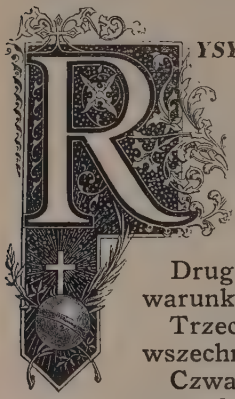

YSY podobieństwa.

Jak się łączą ze sobą miłość ku bliźniemu i miłość ku Bogu? Widzimy w nich pięć rysów podobieństwa.

Pierwszy rys — że obydwie są Boskie.

Drugi rys — że obydwie są bezwarunkowe.

Trzeci rys — że obydwie są powszechne.

Czwarty rys — że miłość bliźniego podnosi do miłości Boga.

Piąty rys — że miłość bliźniego jest najpewniejszym probierzem miłości Boga.

Krótkie to i treściwe wypowiedzenie, ale nie wszystkim jasne. Rozwiniemy je w tem i następnem rozmyślaniu.

Pierwszy rys,

jak powiedzieliśmy, polega na tem, że obydwie są Boskie. Każde katolickie dziecię razem z pacierzem, pobiera od matki tę naukę, że miłość Boga razem z wiarą i nadzieją zalicza się do cnót Boskich czyli teologicznych. Co to znaczy? To znaczy, że bezpośrednim tych cnót przedmiotem jest sam Bóg. — A czy

cnota miłości bliźniego ma za swój bezpośredni przedmiot Boga? Bezpośrednio zwraca się do bliźniego a nie do Boga. To dlaczego jest Boską? Jest Boską z dwóch innych przyczyn.

1) Najpierw dlatego, że wywodzi swoje pochodzenie bezpośrednio od Boga. Objaśni to przykład. Pan Bóg jest jakby słońce. Słońce wypuszcza różne promienie. Jeden promień wpada do naszego oka, abyśmy mogli zobaczyć piękność świata i wznieść się myślą uwielbienia ku Stwórcy. Drugi promień pada na drzewa, kwiaty, kształci owoce, aby służyły za pokarm nam i innym. Tak również z tego samego ogniska Bóstwa tryskają dwa promienie miłości: jeden, aby nas zapalić płomieniem miłości ku Bogu — drugi, aby obudzić miłość ku bliźniemu i rozwinąć owoce pożywne dobrych uczynków względem innych. — Popatrzmy na słońce i na księżyc. Czy nie to samo światło, które jest w słońcu, oblewa jasnością i księżyc? Księżyc — to jakby bliźni, który nosi obraz Boga na sobie, oblany światłem oblicza Bożego. Pobudka miłości względem niego nie jest inna, tylko ta sama, co jest w Bogu. — Bądźmy więc pewni, że Miłosierny Samarytanin nie dla innej pobudki spełnił uczynek miłości bliźniego, tylko dla tej, że mu tak miłość Boga podyktowała. Kochał Boga, więc i bliźniego, bo na bliźnim zobaczył odbicie obrazu Boga.

Miłość bliźniego nie tylko dlatego jest Boską, że z jednego źródła razem z miłością

Boską płynie i jako bliźnięta życie razem dostały, ale i dlatego, że

2) jest rozkazem Boga. „Przykazanie moje daję wam, abyście się tak miłowali, jak ja was umiłowałem." (Jan 15). Dodaje też Chrystus, że to przykazanie jest „nowe." Dwa słowa sprawiają tu pozorną trudność. Dlaczego „moje" i dlaczego „nowe" to przykazanie? Czy się to nie sprzeciwia temu, cośmy powyżej powiedzieli? Przecież jak Bóg Bogiem, tak i promienie miłości tryskają z Niego? Czy w Starym Zakonie nie miało siły obowiązującej? — Moje i nowe, bo a) przed Chrystusem nie było tak dobitnie ogłoszone i w takiej czci i szacunku, jak u nas — b) Bo przedtem kochano przyjaciół. Względem zaś wrogów nie umiano się podnieść na ten stopień doskonałości, na którym nas miłość Chrystusowa i rozkaz Jego stawia.

Drugi rys podobieństwa:

Miłość bliźniego i miłość Boga są bezwarunkowe. Jak te dwa strumyki wypływają z tego samego, wiekuistego źródła, tak też nie dadzą się w swym biegu powstrzymać, ograniczyć, żadną przeszkodą i trudnością zatrzymać. Inne prawa i obowiązki mogą ulec zmianie, ograniczeniu, zawieszeniu. Obowiązek pokuty wziął swój początek po upadku i grzechu. Przed grzechem w stanie pierwotnej niewinności niema jej śladów. — Spowiedź w Nowym Zakonie weszła w prawo — w Starym nikt jej się nie poddawał. — Dobrowolne

ubóstwo, ślub dziewictwa wtedy nakłada obowiązek, kiedy się nim człowiek zwiąże. — Przykazanie postu, chociaż jest ogólne i ścisłe, w pewnych jednak warunkach n.p. choroby, zwalnia nas z wypełnienia. Tak samo przykazanie słuchania Mszy św. w niedziele i święta uroczyste.

Przykazanie zaś miłości Boga i bliźniego było, jest i będzie w swojej mocy obowiązującej, czy przed czy po upadku — czy w Starym, czy w Nowym Zakonie, pomimo przeszkód i trudności. Możesz powiedzieć: Jestem chory, nie mogę słuchać Mszy św. — jestem biedny, nie mogę dać jałmużny. Lecz nie możesz powiedzieć: Nie mogę Boga kochać i bliźniego, bo nawet w najcięższych warunkach modlitwą, dobrem słowem, pociechą można biednemu okazać miłość i życzliwość.— Widać z przypowieści, że tak pojął tę cnotę miłosierny Samarytanin, który bez względu na trudności i niewygodne okoliczności spełnił uczynek heroicznej usługi. Dlatego Chrystus za wzór go stawia.

V.

MIŁOŚĆ BLIŹNIEGO — W CZEM JEST PODOBNA DO MIŁOŚCI BOGA?

Trzeci rys podobieństwa.

RZECI rys podobieństwa między miłością bliźniego a miłością ku Bogu jest ten, że obydwie są powszechne. Powszechne ze względu na zawartość i na rozciągłość.

Wyjaśnimy te myśli.

1) Ze względu na zawartość. Co to znaczy? Te dwa przykazania miłości Boga i miłości bliźniego zawierają w sobie wszystkie inne przykazania. „Na tych dwóch przykazaniach zakon (prawo) zawisł." (Mat. 23. 40.) — Co się zawiera w innych przykazaniach? W innych przykazaniach zawiera się tylko szczegółowe wyjaśnienie i zastosowanie przykazania miłości w różnych okolicznościach i stosunkach. Krótkie są wprawdzie

Przykazania Boskie, ale można je jeszcze skrócić, streścić i do tych dwóch przykazań sprowadzić, włączając uczynki miłosierdzia. Dziesięć jest Przykazań Bożych, ale zobaczymy, że się obracają około tych dwóch t.j. około miłości Boga i miłości bliźniego. Przypomnijmy sobie pierwsze cztery Przykazania Boże. Do kogo się zwracają? Do Boga i określają nasz stosunek do Niego. Bóg, jako najwyższy Władca, w pierwszem przykazaniu domaga się wierności — w drugiem czci — w trzeciem służby, hołdu, ofiary — w czwartem szacunku dla swoich zastępców na ziemi. Wszystko zmierza do Boga. — Następuje sześć dalszych przykazań. Do kogo się zwracają? Do bliźniego. Mają na względzie miłość bliźniego. Zakazują szkodzić mu na życiu (V. przyk.) — na niewinności (VI. przyk. — na własności (VII. przyk.) — na sławie (VIII. przyk.) — na szczęściu i mieniu rodzinnem (IX. i X. przyk.) — Druga tę część uzupełnia nakaz wykonywania uczynków miłosierdzia t.j. aby ratować bliźniego w potrzebie.

Czy za tem, kochając Boga i bliźniego, nie wypełniamy wszystkich przykazań? „Miłość jest wypełnieniem zakonu" (Rzym. 13. 10.). św. Augustyn dodaje: „Kochaj i rób co chcesz."

Obydwie te miłości są powszechne nie tylko dlatego, że wszystkie inne przykazania w sobie zawierają, ale też

2) Ze względu na ich rozciągłość. Gdzie ich granice? Wszystkie kraje,

wszystkie narody, wszystkie stany i czasy. Dlaczego? Bo każdy jest naszym bliźnim bez względu na siedzibę, na pochodzenie, rasę, różnicę wieku, wyznanie, stanowisko.

Chrystus opowiadał przypowieść o miłosiernym Samarytaninie. Uczynił to dlatego, bo uczeni żydowscy za czasów Zbawiciela uważali za bliźniego tylko tego, kto był tej samej narodowości i wiary. Zbija te błędy, rozciągając i zalecając miłość ku wszystkim. Również św. Paweł poucza: „Nie jest żyd, ani Greczyn... albowiem wszyscy jedno jesteście w Chrystusie Jezusie" (Gal. 3. 28.). Wszyscy mówią do Boga: „Ojcze nasz, który jesteś w niebie."

Ta podstawa łączy w Kościele katolickim ludy wszelkiej narodowości w jedną wielką rodzinę Bożą i wymaga, aby wszyscy członkowie tej rodziny zjednoczeni byli wspólnym węzłem miłości. Czy jedność religijna — to najpierwsze i najpoważniejsze znamię — nie jest jednem z największych dobrodziejstw ludzkości? Ona łagodzi i równa wszelkie przeciwieństwa i niezgody poszczególnych narodów i pracuje nad pokojowem zbrataniem wszystkich ludzi. W tym celu założył Chrystus jeden Kościół katolicki, czyli powszechny, ogólno-światowy, a nie osobne narodowe lub państwowe kościoły. Czy i najwięksi myśliciele i politycy nie widzą w połączeniu narodów uszczęśliwienia? Dlaczego obecnie przemyśliwają nad środkami zbratania różnych państw i plemion? Wynik tych zabiegów jest jeszcze dotąd nieuchwytny — urzeczywistnie-

nie nieprawdopodobne, dopóki namiętność i samolubstwo ludzkie będą w grę wchodziły. Zbratanie zaś w jedności Chrystusowej coraz to szersze zatacza kręgi, coraz głębiej przenika serca, bo się zasadza na zwalczaniu miłości własnej, na ustępstwie prywatnych interesów na rzecz całości. Przyjdzie kiedyś do zupełnego skojarzenia religijnego, jak Chrystus przepowiedział.

Zanim jednak to się stanie, co nam obecnie czynić należy? Rozciągnąć miłość na wszystkich wokoło siebie aż do ostatnich granic. Mało się mówi o miłości względem innych narodów, a jeżeli się o nich wspomina albo pisze, to zawsze z jakąś urazą. Potrąca się zwyczajnie o ich wady, jakby nic dobrego u nich nie było. Tych zwłaszcza ludów, od których nasza ojczyzna doznawała upokorzenia, znieść nie możemy. Nie umiemy zachować taktu i miary czyto w piórze czy w słowie i żółć publicznie wylewamy, pałając ku nim zemstą. Gorzej jeszcze, że młode pokolenie do nienawiści zaprawiamy względem nieprzyjaciół ojczyzny. Nie odpowiedni to środek, bo nienawiść ran nie koi, ale je jątrzy i wyradza kwas i truciznę w dzieciach i wychowankach naszych, a to nieprzyjaciół nie pozyskuje, ale ich rozmnaża i potęguje. Samarytanin daje nam przykład. Można z pewnością przypuścić, że biedak jego pomocą wsparty, umiał się mu odwdzięczyć i chociaż należał do wrogiego mu narodu, został mu przyjacielem. Miłość rodzi miłość.

VI.

MIŁOŚĆ BLIŹNIEGO — W CZEM JEST PODOBNA DO MIŁOŚCI BOGA?

(Dokończenie.)

Jeszcze dwa rysy podobieństwa.

IDZIELIŚMY już w potrójnym rysie podobieństwo miłości bliźniego i miłości ku Bogu, mianowicie, że obydwie są Boskie — obydwie bezwarunkowe — obydwie powszechne. Jeszcze dwa rysy dostrzec można:

Czwarty rys, że miłość bliźniego podnosi do miłości Boga. W modlitwie po ostatniej wieczerzy podnosiło B. Serce najbardziej ten stosunek. Modlił się Zbawiciel „aby jedno byli... aby świat poznał, żeś Ty Mię, Ojcze, posłał..." i „aby widzieli uczynki wasze i chwalili Ojca, który jest w niebiesiech." Myśl B. Serca jest ta: Jeżeli się będziecie nawzajem kochali, to wielu pobudzicie do miłości Boga i do prawdziwej wiary. Będzie to dowodem i świadectwem, że Moja nauka jest Boską.

Dlaczego w pierwszych wiekach chrześcijaństwa tak gorąca była wiara i miłość Boga? Bo pierwsi chrześcijanie zrozumieli i wykonywali tę prawdę. Było w nich „jedno serce i jedna dusza." W tych czasach do pewnego miasteczka przybyło wojsko pogańskie, głodne,

zmęczone po długich ćwiczeniach. Mieszkańcy przyjęli je serdecznie — nieproszeni nawet przynieśli do obozu pożywienie, lekarstwa. „Co to za naród tak życzliwy i ujmujący gościnnością?" pyta się pewien pogański żołnierz. „To chrześcijanie, którym prawo Chrystusowe nakłada tak piękny obowiązek," tłómaczy inny. — „Skoro tylko ukończę służbę wojskową, muszę się z nimi w wierze złączyć," odpowiada żołnierz. Złączył się i został chrześcijaninem — ale i świętym. Był to św. Pachomjusz. — Liczne nawrócenia i w naszych czasach to stwierdzają. Pewien znakomity Anglik — protestant, nazwiskiem Douglas, był obecnym na wielkiej uroczystości w kościele św. Piotra w Rzymie. Chcąc się dokładniej wszystkiemu przypatrzeć, wstawił parasol do jednego z konfesjonałów. Wychodząc z kościoła, zastał konfesjonał zamknięty. W zakrystji nie mieli klucza, więc go odesłano do księdza w mieście. Udał się Anglik do wskazanego domu i zastał w nim kapłana ujmującego grzecznością, który z nim natychmiast poszedł do kościoła, aby mu własność zwrócić. Przylgnęli sercem do siebie. Skutek był ten, że Anglik po kilku wizytach u miłego kapłana, przeszedł na łono Kościoła katolickiego. Miłość i serdeczne zajęcie się bliźnim podniosło do prawdziwej miłości Boga. Podobnych przykładów trudno zliczyć.

Piąty rys, że miłość bliźniego jest najpewniejszym probierzem miłości Boga.

Skądże poznasz, czy Boga kochasz, czyli ile

ciepła w sercu posiadasz dla Boga? Gdzie ciepłomierz (termometr)? Poświęcenie się dla bliźniego. Kto chowa gniew przeciw bliźniemu, nienawidzi go, zazdrości mu, szkodzi na zdrowiu, niewinności, majątku, czci — kto niechętnie wspiera biednych — dowód to, że mu brak miłości Boga i zimno w sercu.

Rzućmy okiem dokładniej na ten ciepłomierz. Co jeszcze zobaczymy? Że im większa miłość Boga, tem wydatniejsza miłość bliźniego. Wzrastają proporcjonalnie. Wartość uczynków miłości bliźniego zawisła od większej miłości ku Bogu. Im więcej oliwy, tem większy płomień w lampie — im więcej ciepła, tem lepiej dojrzewa roślina i pożywniejsze rodzi owoce. Biedna niewiasta rzuciła do skarbonki drobny pieniądz. Pochwalił ją Zbawiciel, mówiąc do Apostołów, że więcej dała, aniżeli bogacze, co obfite złoto składali na ołtarzu. Więcej dała, bo z gorącem ku Bogu sercem.— Podziwiamy miłość bratnią pierwszych chrześcijan. Nie zapominajmy, że oni rozpalali się miłością Bożą w codziennej Komunji św. Podziwiamy dzieła miłości chrześcijańskiej u św. Wincentego a Paulo, u św. Franciszka Ksawerego, u czcigodnego Jana Bosko i wielu innych, niezliczonych chrześcijańskich działaczy na polu miłosierdzia. Lecz czy nie wiemy, jak często myślą zagłębiali się w Boskiem Sercu i stąd ogień do pracy apostolskiej wynosili? Musiał też i nasz miłościwy Samarytanin niezmiernie Boga kochać, jeżeli tak chwalebny akt miłości bliźniego spełnił.

VII.

MIŁOŚĆ NIEPRZYJACIÓŁ.

Przykład Boskiego Serca.

A to głównie opowiedział Zbawiciel tę przypowieść, abyśmy się nauczyli nieprzyjaciołom urazy przebaczać i ich kochać. Sam to Swoją nauką i przykładem wskazał.

1. Jak uczył? „Miłujcie nieprzyjacioły wasze, dobrze czyńcie tym, którzy was mają w nienawiści." (Mat. 5. 44.). — Nakazuje nadstawić drugi policzek, gdy cię uderzą w jeden.. (Mat. 5. 40.). — Między innymi dosłownie to wykonał misjonarz japoński, Jan Fernandez T.J. Wśród kazania na ulicy na ten sam temat, uderzył go w twarz Japończyk, lekarz i opluł mu oblicze. Misjonarz otarł twarz spokojnie, podziękował za zniewagę i kazał dalej, jakby nic nie zaszło. Ten przykład miał większy skutek, aniżeli kazanie. Setki się nawróciły.

Pan Jezus dla zachęty opowiada przypowieść o słudze miłosiernym (Mat. 18. 23. i.t.d.) — grozi gniewem Ojca niebieskiego, jeżeli nie

odpuścimy uraz innym. (Mat. 6. 15.) — karci Apostołów nierozważny pochop, którzy chcieli ściągnąć z nieba ogień na Samarytańczyków za to, że wzbraniali Chrystusowi przystępu w swoje granice. (Łuk. 9. 55.).—Chrystus swoje kazanie o miłości wrogów zakończył temi słowy: „Bądźcie doskonałymi, jak Ojciec wasz w niebiesiech jest doskonały." Co chciał przez to wyrazić? Że miłość wrogów jest oznaką doskonałości chrześcijańskiej i drogą do niej. Jakby mówił: „Naśladujcie świętość i doskonałość Ojca niebieskiego. Jakże ją możecie najlepiej naśladować? Przez miłość i łaskawość względem wrogów t.j. abyście od tej miłości nie wykluczali nikogo, ale rozszerzali na wszystkich, czy na przyjaciół, czy na nieprzyjaciół." — Doskonałość właśnie polega na miłości, zwłaszcza wrogów, bo to jest najwyższy najtrudniejszy akt miłości, to jest największe zwycięstwo siebie. — Uczucie krzywdy jest wprawdzie bolesne i może najboleśniejsze ze wszystkich cierpień. Lecz jakże inaczej dojść do doskonałości, jeżeli nie przez boleści? Aby wyrobić statuę trzeba narzędzi: dłuta, młotka, pilnika — aby uzyskać zdrowie, trzeba nieraz bolesnej operacji. Przykrości, krzywdy, zniewagi i obelgi wyrabiają nas i wprawiają w doskonałości — a przez to zbliżają do świętości i doskonałości Ojca niebieskiego. — Tak Pan Jezus uczył, a

2. Jak czynił? Zobaczmy krzywdy— następnie zachowanie się wobec nich B. Serca.

a) Krzywdy: Nie wspominam o tem,

jak Go szukał Heród, aby Go zgładzić, gdy nasz Pan był Niemowlęciem, — nie wspominam o postępach faryzeuszów — o zdradzie Judasza — o zaprzaniu się Piotra — o ucieczce uczniów — o odrzuceniu od Swego narodu. Zwracam tylko uwagę na krzywdę wśród samej Męki, jakiej nikt nie doznał! Bo uważajcie na szczegóły. Pojmanie Zbawiciela nastąpiło bez podejrzenia. Nie było cienia zarzutu. — Sposób pojmania bezpodstawny i niebywały. Zanim go do sądu dostawiono, już go spokojnego szarpano, bito, znieważano bez przesłuchania, wbrew wszelkiemu prawu. — W samym sądzie nie dano Mu obrony. Wprawdzie zapytywano się Go o naukę i uczniów, lecz zaledwie usta otworzył i najspokojniej kilka słów wypowiedział, sługa sądowy wobec sędziów wycina Mu policzek. Czy mógł się potem bronić? Jeżeli Go pytano, czemu Go nie chciano słuchać? Mówi — to Go biją, milczy, jak u Heroda — to Go głupim ogłaszają. — Co było najboleśniejszem to to, że uznano Go niewinnym, a mimo to skazano na śmierć! Słowa Piłata: „Żadnejem przyczyny śmierci w Nim nie znalazł." Pomimo to: „przysądził, aby się stało żądanie ich" (Łuk. 23.) Przykład kary jedynej na świecie! Nawet w najniesprawiedliwszych sądach szukają pozoru, aby usprawiedliwić samowolny wyrok. — Nadto, karę obostrzono bez ograniczenia. Kto chciał, szarpał, plwał, bił, szydził.

b) Zachowanie się Jezusa.—Czy

mógł się zemścić? W ogrojcu paru słowy powala ich na ziemię. Niebo, słońce, ziemię ma na rozkazy. Niebo gotowe posłać pułki aniołów, jako mścicieli krzywdy — słońce przybrało postać gniewną, mściwą, czeka, by mu zemsty pozwolił — ziemia trzęsie się w gniewie, chce, jak za czasów Sodomy, wszystko połknąć i zmiażdżyć — między ludźmi odzywają się głosy współczucia. Setnik, łotr po prawicy wszechpotężnego Boga w Nim ogłasza.

Ono zaś, Boskie Serce „nasycone zniewagą" (Tr. Jerem. 330.), wszystko w miłości pociąga ku Sobie. „Ojcze — mówi — odpuść im, bo nie wiedzą, co czynią." — Na taką miłość wrogów mogło się tylko zdobyć Boskie Serce! Oto Miłosierny Samarytanin!

VIII.

MIŁOŚĆ NIEPRZYJACIÓŁ.

(Ciąg dalszy.)

Inne przykłady miłości nieprzyjaciół.

WIDZIELIŚMY w poprzedniem rozmyślaniu jak się zachowało Boskie Serce w czasie Swej męki wśród prześladowania wrogów. Pod krzyżem skupiła się cała ich złość i nienawiść, by Zbawiciela ostatnim ciosem dobić. Widać to po ich rękach i ruchach, którymi szyderczo Nań wskazują, widać po twarzach, z których bryzga nienawiść, słychać w słowach drwiny i urąganie. „Zstąp z krzyża, jeżeli jesteś Bogiem. Okaż Swą moc, uwodzicielu! Ani Ci Eljasz nie pomoże, którego wzywasz!" Takie i tym podobne słowa Jezus na krzyżu słyszy. — Niebo niechce znieść tej zniewagi. Słońce zasłania się czarnym welonem, odmawia światła, jakby w oburzeniu mówiło: Nie promieni, ale sztyletów na tych zbrodniarzy! — Twarda skała drży w bolu w swych posadach, zżyma się i protestuje, że człowiek Boga krzywdzi. Czeka na rozkaz, aby pochłonąć tych złoczyńców. — Groby się rozpadają i wysyłają zmarłych, niech popatrzą, jak się ludzie z Bogiem obchodzą!

Ach, Jezu, dość tych bluźnierstw i zniewagi! Każ Aniołom w puch rozbić tych niewdzięczników!

Słuchaj, miłośniku Serca Bożego, jakie zeń słowa płyną? „Ojcze, odpuść im, bo nie wiedzą, co czynią." — Ty ich uniewinniasz i bronisz przed Swym Ojcem niebieskim? Nie wiedzą, co czynią? Czy nie widzieli Twych cudów, czy nie czytali proroctw o Tobie, czy nie śledzili Twego świętego życia na każdym kroku? Jeżeli poganin-setnik, słysząc te Twoje słowa, Bogiem Cię mieni i lud pogański w pierś się bije, uwielbiając Twe Boskie Serce— czemuż uniewinniasz tych, co Cię lepiej powinni byli poznać i Twoje posłannictwo zrozumieć?—Uniewinnia, bo darowanie uraz, jak mówi św. Jan Chryzostom, jest oznaką dzieci Bożych. „Nic tak nie czyni człowieka podobnym do Boga, mówi tenże Doktor Kościoła, jak to, że się nie mści na wrogach i urazy chętnie przebacza." Wykazuje to na przykładzie Ezawa i Jakóba. Nieposkromiony w gniewie Ezaw względem swego brata Jakóba od młodości go nienawidził i prześladował. Bóg Jakóbowi dał serce miękkie i dobroć rozlał na twarzy. Chociaż unikał brata, bojąc się jego gniewu, nadeszła jednak chwila, w której musiał się z Ezawem spotkać. Jakób wezwał pomocy Boga i jaknajserdeczniej zwrócił się do Ezawa. To tak ujęło brata, że radością zapłonął, zapominając o urazach. „Widzę oblicze, jako oblicze Boga," dodaje Jakób. Przy tych słowach nadmienia św. Chryzo-

stom: „Widzicie, jak to miłość przemienia jakby w Boga, podczas gdy gniew i zemsta wyciska szatańskie piętno." (Św. Jan Chryz. in Mat. hom. 8.).

Na wzorze miłosiernego Serca Bożego wykształcili się Święci i inni naśladowcy Chrystusowi. Zdobywali się na heroiczne czyny miłości wobec wrogów. Już nieraz słyszeliście ten wspaniały przykład św. Jana Gwalberta, którego trudno zapomnieć.

Bogaty pan i rycerskiego ducha, Jan Gwalbert, we Florencji (we Włoszech) kochał swego brata nad życie. Donoszą mu, że brata zbrodniarz zabił. Przy zwłokach drogiej ofiary składa przysięgę, że zabójcę w kawałki posieka. Morderca krył się długo, zmieniał miejsce pobytu. Gwalbert wszędzie go tropił, ale na próżno. W wielki piątek Gwalbert w otoczeniu swej świty jechał konno ulicami Florencji. „Tam przemyka się ów zbrodniarz, co ci brata zabił—mówi towarzysz do Gwalberta — nie wymknie ci się, bo wyjścia niema; teraz pora na zemstę." Gwalbert wspiął konia ostrogami i w jednej chwili z wyciągniętą szablą, jak orzeł na upatrzoną zwierzynę, spadł na zbrodniarza. Ten, widząc śmierć nad głową, a nie mogąc się wymknąć, rozkłada na krzyż ręce: „Gwalbercie — drżącym przemawia głosem — dziś Wielki Piątek, dziś Pan Jezus na krzyżu przebaczył mordercom. Nie mam przy sobie krzyża, lecz rozłożone ręce niechaj ci krzyż przypomną. W imię Ukrzyżowanego daruj mi życie..." — Gwalbert,

trzymając szablę nad nim, drgnął ze wzruszenia: „Jezusem się zastawiasz... prawda dziś Wielki Piątek... dziś Zbawiciel przebaczył wrogom... I ja ci Dlań przebaczam. Brata mi wydarłeś, bądź mi bratem! Po nim został majątek. Weź go, chodź do mojego domu, żyjmy ze sobą tak serdecznie, jak żyłem z bratem."

Po rzewnych uściskach wziął Gwalbert mordercę do sąsiedniego kościoła i tam przed krucyfiksem ponowił zwycięstwo nad sobą. Z wizerunku Zbawiciela na krzyżu odchyliła się ręka i objęła Gwalberta. — Potem Gwalbert złożył swój strój rycerski i w klasztorze jako Święty zajaśniał.

IX.

MIŁOŚĆ NIEPRZYJACIÓŁ.

(Ciąg dalszy.)

Inne przykłady miłości nieprzyjaciół.

OPRZEDNIO podaliśmy parę przykładów o miłości nieprzyjaciół. Lecz tak ich jest wiele, że same nasuwają się pod pióro— a tak bardzo potrzebne, że im więcej ich przytoczymy, tem łatwiej przełamią nasz gniew i zawziętość uśmierzą, jeżeli te wady odzywają się w naszych sercach. Napełnią też naszą duszę miłosierdziem samarytańskiem według pragnienia Boskiego Serca.

Jeżeli kto, to św. Karol Boromeusz (†1586.), biskup Medjolanu (we Włoszech) nie powinien był mieć żadnych wrogów. Był on cały sercem i jego słodycz rozlewał na wszystkich bez różnicy. Nie brakło mu też środków materjalnych do pozyskania sobie serc ludzkich, bo był bardzo bogaty, a przytem nadzwyczaj szczodry. Prawem dziedzictwa otrzymał po rodzicach wielki spadek, i wuj je-

go, Papież Pius IV., nie szczędził mu fortuny. —Wszystko, co miał, na dobre cele rozdał, a dla ubogich był czemś więcej, niżeli ojcem. Ze wszystkiego się ogołocił tak, że się i łóżka pozbył, a na gołych deskach noc przepędzał. Przed takim mężem Bożym powinniby nawet dzisiejsi socjaliści bić czołem, którzy w swej nienawiści chcieliby wydrzeć księżom, a zwłaszcza biskupom, zasłużony kawałek chleba.

Czy jednak ten św. biskup nie miał wrogów? Podrzucano mu listy i pisma obelżywe, oszczercze, pełne pogróżek. Pisma te znajdowali domownicy w pałacu i podawali z oburzeniem św. biskupowi, gotowi tropić winowajców. Św. Karol uspokajał ich i kazał zjadliwe pisma palić. — Gdy pewnego razu klęczał na modlitwie, wpadł jakiś złoczyńca do jego pokoju z palną bronią i wystrzelił do niego. Bóg chciał, że kula odbiła się od sutanny i spadła nieszkodliwie na ziemię. Powstał popłoch w domu biskupim, zaczęto szukać zbrodniarza. Św. biskup zakazał pościgu, mówiąc, że ze serca przebacza napastnikowi. Dowiedział się o tem sam namiestnik. Przybył do św. Karola, aby rzecz zbadać i wdrożyć śledztwo. Błagał go Święty, aby tej przykrej sprawy nie poruszał, dodając słowa Pisma św. „Synu, rzeczy twe odprawuj w cichości, a będziesz miłowan nad chwałę ludzką." (Eccl. 3. 19.).

Inny przykład czytamy w żywocie św. Chrystofora, męczennika. Bez żadnej przyczyny wyciął mu policzek pewien poganin, człowiek burzliwego usposobienia. Jak się za-

chował Święty? Gdybym nie był chrześcijaninem — odpowiedział łagodnie — odpłaciłbym ci się tą samą monetą. Lecz, jako chrześcijanin, dziękuję ci za trud zniewagi. Niech ci Bóg zapłaci! Tak się mszczą chrześcijanie!"

Jeszcze parę krótkich przykładów ze świata pogańskiego, abyśmy się wobec nich zawstydzili, a tem samem na większą łaskę od Boskiego Serca zasłużyli za zwycięstwo nad sobą. Zawstydzenie stąd powinno wypłynąć, że poganie nie mieli tak wzniosłych pobudek do darowania uraz, jak my mamy, a jednak z wrogami szlachetnie się obchodzili. Liczne i piękne przykłady podaje historja starożytna:

Złośliwy młodzieniec wybił oko Likurgowi, królowi Lacedemończyków (w starożytnej Grecji). Lud się na to oburzył, pochwycił zbrodniarza i oddał w ręce króla, aby mu sam karę wymierzył. Ten młodzieńca w cnocie wyćwiczył i na dobrą drogę sprowadził. Potem publicznie w gmachu teatralnym ludowi go okazał. „Oto — powiedział Likurg — wziąłem go od was występnego, a oddaję cnotliwego." (Plutarch, de Lycurgo).

Sokrates (mędrzec grecki), odebrawszy niewinnie policzek,, wypisał sobie na czole imię napastnika, jakby wielkiego dobrodzieja, jakto unieśmiertelniamy na marmurze pamięć zasłużonych mężów.

Peryklesa cały dzień lżył niegodziwiec. Wieczorem, gdy wróg zmęczony rzucaniem

obelg do domu wśród ciemności powracał, zacny obywatel, nie pomnąc na zniewagi, osobiście posłużył mu latarnią.

Euklides, usłyszawszy, że wróg jego zaprzysiągł go zabić, on sam zaprzysiągł, że go przebłaga i dobrodziejstwy obsypie.

Juljusz Cezar, cesarz rzymski, swoich zwyciężonych nieprzyjaciół ani nie karał śmiercią, ani im żadnej urazy nie okazywał. Wielu nawet swoich wrogów obdarzał wysokimi urzędami. — Stąd mówi o nim Cyceron, mowca rzymski: „Zdobywać miasta, twierdze umiało wielu wodzów, ale serce zwyciężyć, gniew ukoić, zapanować nad sobą, leżącemu u stóp nieprzyjacielowi darować, to jest czyn podobny do Bożego."

Objeżdżał Amerykę marszałek francuski, Ferdynand Foch, naczelny wódz połączonych sił zbrojnych, które centralnym państwom zadały klęskę. Przyjmowano go tu tak uroczyście, jak rzadko kogo. Na każdym kroku korespondenci od gazet zasypywali go pytaniami: Co sądzi o obecnem położeniu świata, co o pokoju, o przyszłości, o zwyciężonych wrogach i.t.p.? Warto było czytać w gazetach odpowiedzi z ust takiej znakomitości. Wszędzie i zawsze podkreślał i wskazywał na jedność i miłość pomiędzy narodami i pojedynczymi ludźmi. „Zwycięstwo dała nam jedność i porozumienie wzajemne. Bez tego najlepsza broń i najświetniejsza komenda zawodzi. Przyszłość i szczęście ludów w tem leży. Miłość jest duszą świata." Te wyrazy

często marszałek Foch powtarzał. A gdy o wrogów trzeba mu było potrącić, przypominał owe słowa b. prezydenta Abrahama Linkolna: „Ze złością i nienawiścią nie odnosimy się do nikogo, miłość żywimy do wszystkich, a z siłą i stanowczością bronimy prawa i to takiego prawa, jakie nam Bóg objawił." — Marszałek Foch, oprócz prywatnych wywiadów z korespondentami gazeciarskimi, wygłosił około 500 mów publicznie na bankietach i przy innej sposobności, a wszystkim za tło podkładał te same myśli o miłości wzajemnej i wyrozumiałości względem wrogów.

Nas katolików powinno to tembardziej cieszyć, bo nam wiadomo, że marszałek Foch przoduje nie tylko jako najdzielniejszy wódz wojenny na polu chwały, ale i jako wzorowy katolik na polu religijnem. Sami nawet protestanccy pryczery rozpływali się w pochwałach w tym czasie na swoich ambonach o przykładnem życiu religijnem naszego pobożnego marszałka.

X.

JAK MIŁOWAĆ NIEPRZYJACIÓŁ?

AK ich kochać, jak to miłosierny Samarytanin uczynił i Boskie Serce pragnie — mianowicie: sercem, słowem, uczynkiem.

1. Sercem.

a) Dlaczego stąd zaczynać? Bo tu źródło złości i nienawiści. Jak ono zatrute, to i strumyk i rzeka. Tu warsztat, gdzie kują i zaostrzają pociski i strzały zemsty. Tu gniazdo, gdzie się wylęgają roje ós i szerszeni, tu legowisko jadowitych żmij i jaszczurek, krwiożerczych żądz, dzikich wybryków namiętności. Tu jaskinia, w której się kryją i ćwiczą zbrodniarze, co wychodzą językiem, okiem, ręką, piórem, nogą na krzywdę bliźniego. Jeżeli władza dostanie w ręce przestępcę, co rzucił w tłumy bombę, szuka wspólników i fabryki. Szukajmy w fabryce serca winowajców i tu je niszczmy. Przytem jednak roztropnie

b) Odróżniajmy, co jest grzechem, a co nim nie jest? Wielu mylnie miesza różne pojęcia i uczucia: grzeszne i niegrzeszne i uskarża się niepotrzebnie na spowiedzi. Co innego jest żal i smutek, a co innego zemsta, zawziętość, chęć odwetu. Przyczyny żalu bezwinnego

mogą być różne i usprawiedliwione. Między innemi niewdzięczność, jakiej n.p. doznają opuszczeni i pogardzeni rodzice, dobrodzieje od swych dzieci i sierot. Jest to tylko naturalne uczucie boleści za zniewagę. Bóg jej również doznaje od grzeszników i nie może nie odczuć — mimo to jest najświętszy. — Tak samo żal, smutek, pochodzący z miłości Boga lub bliźniego, nie jest grzeszny. Tak smuci się dobry katolik, że wróg Kościoła zdobywa co raz to większe znaczenie lub że grzesznik ma wielkie szczęście, którego nadużywać będzie do jeszcze większych grzechów. Modlimy się w litanji: „Abyś nieprzyjacioły Kościoła poniżyć raczył."

Cóż więc jest grzechem? Zemsta dobrowolna, chociażby tylko w sercu, niecne plany odwetu, zawiść, przemyśliwanie, jak drugiemu zaszkodzić. Jest to rdza, która, jakby żelazo, wygryzie serce — jest to mól, niszczący purpurowe szaty łaski Bożej.

2. S ł o w e m. Zasadą naszą powinno być: albo nic nie mówić o wrogach, albo dobrze.

a) A l b o n i c. Czasem i to wystarczy, gdy porozumienie się i pojednanie z ich winy nie jest możliwe, a każde nasze słowo, chociaż niewinne, mogłoby być nową iskrą do wybuchu nowych płomieni gniewu.

b) A l b o d o b r z e. To wyższy akt zwycięstwa, pewniejszy krok do zgody. Najgorszy nawet człowiek nie jest bez pewnych zalet. Czemu ich nie wymienić zwłaszcza, gdy ataki na niego ze wszech stron się podnoszą? Po-

cisk odbić obroną wroga. Jeżeli złego uczynku nie można wytłómaczyć, to przynajmniej uniewinniajmy intencję i zamiar. — Siebie również nie godzi się oszczędzać, żeśmy bez winy, jeżeli zaś niewinnie cierpimy z uszczerbkiem sławy i mienia,

c) Można się bronić. Czy i jak wolno? Cesarz Juljan Apostata między innymi sposobami dokuczania chrześcijanom i ten wymyślił, że im nie pozwolił bronić się w sądach, z tej niby religijnej zasady, że Chrystus się nie bronił i na krzywdy milczał. Chrześcijanin może się bronić i swojej krzywdy prawnie dochodzić. Św. Paweł apelował po wymiar sprawiedliwości do cesarza. Kościół używa „ramienia świeckiego" do obrony swych praw.

Lecz jak się bronić? Drogą sprawiedliwości i gdy inne środki zadosyćuczynienia okażą się bezskuteczne. Cnota cnocie nie może się sprzeciwiać. Sprawiedliwość dochodzona prawą, spokojną drogą nie wyklucza miłości. — Gdyby i w ten sposób krzywda nasza nie została uwzględniona, nie przestajmy wroga miłować — nawet

3. Uczynkiem. Ładny przykład darowania uraz i obejścia się z wrogiem wyczytałem w gazetach. We Wiedniu wszedł na przepełniony tramwaj zgarbiony staruszek, utykający na nogi. Niebacznie stanął młodemu człowiekowi na palce: „Nie masz innego miejsca, ty stary niedołęgo, tylko musisz po cudzych nogach deptać!" wybuchnął gniewem młodzik. — „Bardzo pana przepraszam, bo mam wzrok

krótki," tłómaczył się staruszek. „Jak nie widzisz, to sobie kup okulary!" burczy dalej nierozbrojony. — Jechali dość długo i wysiedli razem na jednym z przystanków. Staruszek wszedł do wielkiego budynku, młodzik również tam zmierzał, ale do innej bramy. „Czy jest dyrektor banku — pyta się młodzieniec stróża — chciałbym mu się przedstawić." — „Zaraz przyjdzie, proszę tymczasem siadać." — Po chwili wchodzi ten sam staruszek, który od gościa odebrał burę w tramwaju. Witając przybysza i obserwując wzrokiem: „Zdaje mi się, — dodaje, — żeśmy się już widzieli. Pan chciał u mnie posadę buchaltera." Młodzik poczerwieniał ze wstydu, jak piwonja i zaczął się tłumaczyć. „To nic — uspokaja go dyrektor — pan przyjechałeś z prowincji, nie miałeś sposobności nabrać ogłady... ale tu w wielkiem mieście, mam nadzieję, pan się wypoleruje i grzeczności nauczy..."

Dał mu dobrą naukę i posadę. Obszedł się z nim serdecznie.

Przeciwnicy czyli poważnieni powinni przynajmniej tyle dobrej woli okazać, aby się nie unikać i nie uchylać od wzajemnego towarzystwa. Spotkawszy się, powinni wyrazić zwyczajne oznaki pozdrowienia i życzliwości. Pewne nawet dobrodziejstwa wyświadczając wrogowi, „gromadzimy węgle zarżące na głowę jego." (Rzym. 12. 20.).

XI.

MIŁOSIERDZIE BOŻE NAD GRZESZNIKIEM.

tem się najpierw okazuje miłosierdzie Boże nad grzesznikiem, że go Boski Samarytanin

I. Znosi.

Szczerem współczuciem darzymy człowieka, widząc, z jak bohaterską cierpliwością znosi wszelkie najgorsze ze strony innych krzywdy. A jeżeli ta niewinna osoba nawet usprawiedliwia i broni swoich prześladowców, to nie mamy dla niej słów podziwu i uwielbienia. — Nieraz się zdarza, że najuczciwsi rodzice gorzkiego doznają zawodu w wychowaniu syna, któremu poświęcili życie, pracę, pot i marzenia. Zobaczmy

1) Ilu Bóg ma takich synów! Policz mieszkańców miasta, w którem żyjesz. Ilu z nich uważa Boga za Boga, ilu prowadzi życie zgodnie z wolą Najwyższego, ilu strzeże się grzechu? Policz ludność naszej ojczyzny i wszystkich państw Europy. Przejdź wszystkie stany: wieśniaczy, rzemieślniczy, mieszczański, urzędniczy, wojskowy — a nawet i duchowny. Dołącz miljony ludzi innych części świata: Ameryki, Azji, Afryki, Australji.

Przypatrz się samym katolikom, jakie ich życie, obyczaje, pamięć na Boga? Czy im brak znajomości Boga prawdziwego, Jego woli, przykazań, czy nie doświadczyli nieraz Jego dobroci? — A cóż mówić o heretykach, sektach fałszywych, o stowarzyszeniach, które sobie wzięły za cel wszczepianie w innych niewiary i nienawiści ku Bogu? Pomyśl o masonerji, o socjaliźmie, bolszewiźmie i o innych wrogach Kościoła, co na jego gruzach pragną wznieść ohydny ołtarz szatana!

Lecz może to tylko nasze czasy takiej niewdzięczności dopuszczają się względem Boga? Może dawniej było inaczej i po nas będzie lepiej?

2) Zawsze, we wszystkich czasach ludzie byli Bogu niewdzięczni. Nieprawość serc bezbożnych od początku świata podobny przedstawiała widok. Świat istnieje już około sześć tysięcy lat. Sześć tysięcy lat — ile to czasu? Gdyby przez te sześć tysięcy lat żył tylko jeden człowiek i co roku raz tylko ciężko Boga obraził — wyliczylibyśmy sześć tysięcy zniewagi Najwyższego! A ile to tysięcy, miljonów ludzi przeżyło — ile razy w jednym roku, w jednym dniu, w jednej godzinie Pana Boga obraziło? Policzmy, jeśli zdołamy! Śmiało można twierdzić, że o wiele więcej grzechów było na świecie, aniżeli ludzi. — Wulkany zioną lawą. Coraz to nowe warstwy się osadzają na zeschłej skorupie i tworzą nowy pokład. Wulkan bezbożności od początku świata powłoką grzechu ziemię okry-

wał. Naszych czasów warstwa grzechu, to nowy, grubszy i szerszy pokład od poprzednich.

Czy sądzicie, że po nas będzie lepiej na ziemi? Zgangrenowane społeczeństwo co może lepszego wydać? Wyda gangrenę i zgniliznę moralną.

Jakiż więc z tego wniosek? Że gdyby w jakim zakładzie naukowym zbuntowali się wszyscy uczniowie lub większa część przeciw zarządowi, lekceważyli władzę — to jużby dawno taką szkołę zamknięto i uczniów do surowej odpowiedzialności pociągnięto. Gdyby w jakiem państwie nikt nie chciał słuchać rozkazów panującego, na króla, rząd spiski knuto, do buntu podżegano — ktoby chciał w takiem państwie rządzić? Czyby nie ogłoszono stanu oblężenia i doraźnych sądów nie zaprowadzono?

A teraz z grzesznej i krnąbrnej ziemi podnieśmy oczy do Tego, który nią rządzi — do Boga, Króla, Pana naszego — i zapytajmy się:

Po pierwsze: Czy On wie, co się na ziemi dzieje? „Oto Panie, tyś poznał wszystkie rzeczy najpośledniejsze i dawne." (Ps. 138. 5.).

Powtóre: Czy ma jaką przyczynę, że grzechy, obrazę ludzi znosi? Ludzie znoszą ludzi albo z bojaźni — albo ze słabości charakteru — albo wskutek niemocy, bo nie mogą znaleść środków obrony — albo i stąd, bo sami nie lepsi od tych, którychby pragnęli poprawić.

A cóż Bogu przeszkadza, że zwleka z zasłużoną karą? Czy brak wszechmocy Temu, o którym Izajasz powiedział (Iz. 40.): Kto zmierzył garścią wody, a niebiosa piędzią zważył? Kto zawiesił trzema palcy wielkość ziemi i zważył na wadze góry, a pagórki na szalach? Oto narodowie, jako kropla wiadra, a jako ziarnko na szalach poczytane są..."

Może, jak niegdyś Faraona królestwo, nawiedzić trądem, zabójczem robactwem, a wszystko wyginie. Może, jak groził żydom, puścić na nas bestje polne, któreby nas pojadły i nasz dobytek. Jozuemu dał pod moc słońce, które na jego rozkaz stanęło — może i nam światło jego zagasić. Mojżeszowi dał pod moc ziemię i morze, by się otwarła i pochłonęła buntowników — a morze się rozwarło i przeszedł suchą nogą. — Wszechmoc Boża nie ma żadnej przeszkody. Czemu czeka i zwleka? Odpowiada psalmista: Słodki Pan wszystkim: a litości Jego nad wszystkie uczynki Jego." — Uwielbiajmy to miłosierdzie. „Wyznawajcie Panu, bo dobry, bo na wieki miłosierdzie Jego." (Ps. 117. 1.).

Bóg jest tak dobry, że nie tylko znosi grzeszników, ale ich

Samarytanin nie wybrał się umyślnie w drogę, aby nieszczęśliwego, co go zbóje pobili, odszukać i nim się zająć, ale przypadkiem spotkał go na drodze. Nie czuł też osobistej do niego urazy, nie doznał od niego osobistej krzywdy, lecz czuł urazę wspólną, narodową, którą łatwiej zwyciężyć niż osobistą. Nieprzyjaciel nawet, widząc na polu bitwy rannego wroga, nie opuszcza go, ale się nim zajmuje, jeżeli może.

Miłosierdzie Boże wobec grzesznika inaczej się przedstawia. Boski Samarytanin w Swej niepojętej dobroci dalej się posunął. On nie przypadkiem, ale

1) U m y ś l n i e wybiera się w drogę, aby grzesznika szukać i leczyć. On pierwszy, choć obrażony, podaje rękę. „W t e m j e s t m i ł o ś ć, n i e j a k o b y ś m y m y u m i ł o w a l i B o g a, a l e ż e O n p i e r w s z y u m i ł o w a ł n a s" (1. Jan. 4. 10.). — Nawet inaczej być nie mogło. Bo czemże jest grzesznik? To kamień z ręki puszczony. Poleciałby w dal, w nieskończoność, gdyby go ziemia nie przyciągała. A czyby się mógł podnieść o swoich siłach? Nigdy—ale leżałby bezwładnie i rozkładałby się w kawałki, gdyby go kto nie podniósł. Naturalnie jego siły są za słabe, aby się do Niego mógł zbliżyć. Bóg go łaską porusza, nieraz łagodnie, nieraz silnie, jak Szawła. Łaska otwiera mu oczy na rany, na wrzody duszy, na zbójów, co go

zranili, podnosi go, wlewa balsam nadziei przebaczenia, pokrzepia winem otuchy i pociechy, pociąga bliżej do Boskiego Serca po dalszą medycynę.

To miłosierdzie Boże jeszcze bardziej nas rozczula, gdy widzimy, że Bóg

2) Osobistej doznał urazy. Jak to osobistej? zarzucisz. Czym kiedy Boga widział? Boga wprawdzie nie mogłeś widzieć, bo nie masz na to oczu, ale Jego prawa słyszałeś, które ci głosi wyrzutami sumienia, przykazaniami Swemi, nauką Swoich posłów, w Kościele Swego Syna. Widziałeś Jego obraz w swoim bliźnim, co go splamiłeś namową do uczynków, obrażających Boga. Widziałeś ślady Jego dobroci, mądrości i wszechmocy w świecie, które lekceważyłeś i nie Jemu przypisywałeś, ale jakiejś ślepej naturze i przypadkowi.

Zewsząd głos Boży odzywa się do ciebie, jak głos matki, której zły syn nie widzi, bo ją zaniedbał i opuścił. Tego czułego głosu nie może stłumić, bo go wszędzie ściga, wbity głęboko w serce.

Słuchajcie miłosiernego głosu Boga, wy, co bluźnierczemi usty miotacie obelgi na Tego, co was odwieczną miłością ukochał. Na próżno, marny człowieku, rzucasz kamieniem na gwiazdy. Gwiazda przez to nie zgaśnie, a kamień na twoją głowę spadnie. Owszem, nie przestanie ci świecić w ciemnościach życia. — Nie przestanie i Bóg, pomimo twojej złości, opiekować się tobą. Każe zwierzętom, aby cię

obsługiwały w pokarmie i odzieniu — każe strumykom, aby cię ożywiały w pragnieniu wodą — każe kapłanom, aby się modlili za ciebie, rozwięzywali z pęt grzechowych, podawali ci Jego Ciało za pokarm. Nie przestanie do ciebie schodzić codziennie na ołtarz, jako ofiara przebłagalna — nie odwoła swojego Anioła opiekuńczego, którego ci dał do straży— i choćbyś Go po najgorszem życiu zawezwał przy skonaniu, przyjdzie, posili cię na drogę wieczności, przebaczy, obdarzy niebem.

XII.

LITOŚĆ NAD BIEDNYMI.

Wzruszające przykłady miłosierdzia, wyjęte z żywota św. Jana Jałmużnika.

AŁA przypowieść o miłosiernym Samarytaninie, jak poprzednio zaznaczyliśmy, jest historją B. Serca. Jeżeli historja wogóle jest nauczycielką życia, to historja B. Serca jest nauką i wzorem miłosierdzia. Ponieważ Święci tę Księgę mieli ustawicznie przed oczyma, to też nie dziw, że w miłosiernych uczynkach nabrali świętej wprawy.—Szczególnie w tem celował św. Jan Jałmużnik, patrjarcha aleksandryjski, rodem z Cypru, gdzie jego ojciec piastował urząd namiestnika tej wyspy. Żył za czasów Herakljusza cesarza.

Oto kilka rysów jego litości nad biednymi, które mu przydomek Jałmużnika zjednały i takich, o których on sam lubiał opowiadać o innych.

1. Skoro tylko został patrjarchą, kazał diakonom i szafarzom zliczyć ubogich w Aleksandrji. Idźcie, powiedział do nich, po całem mieście i spiszcie wszystkich moich panów.

Nierozumieli, coby to byli za panowie? To są ci, wyjaśniał, których wy u b o g i m i nazywacie. Są to moi wspomożyciele i dobrodzieje, bo mi mogą wyjednać królestwo niebieskie. — Spisano ubogich ponad 7,000 i ci nieszczęśliwi stałego i hojnego mieli w nim opiekuna. Sam pilnował, aby szafarze używali sprawiedliwej wagi i miary.

2. Doniesiono mu, że rządcy i szafarze, podarunkami przekupieni, niesprawiedliwie swój obowiązek wykonują. Podwyższył im płace, ale i to nie pomogło. Żeby wszyscy do niego samego mogli mieć przystęp, obrał sobie środę i piątek, w które to dni u drzwi kościelnych siedział z niektóremi zacnemi osobami, przypuszczając każdego do siebie. Zwykł był mawiać: „Jeżeli ja mam do Boga gotowy przystęp i z Nim, kiedy chcę, sprawę załatwiam, dlaczego memu bliźniemu nie mam dać zawsze wolnego ucha? Baćbym się musiał, żeby mi tak nie odmierzono, jako sam mierzę."

3. Pewien zacny pan był okradziony i do wielkiego ubóstwa zeszedł. Prosił św. patrjarchę o wspomożenie. On mu kazał dać 15 funtów złota. Lecz szafarze, widząc, że już jest mało złota w skarbcu, dali mu tylko 5 funtów. Dowiedział się o tem św. Jan. Gdy się to działo, przystąpiła doń pewna bogata wdowa i wręczyła mu podarunek na 500 funtów złota. Wtedy Święty mąż zawołał szafarzy i rzekł: Przez wasze łakomstwo Kościół ma szkody na przeszło tysiąc i kilkaset funtów złota, bo ta wdowa miała zamiar dać 1,500

funtów. Gdy zaś wy przez skąpstwo daliście temu biednemu panu tylko pięć funtów, któremu kazałem dać 15, ona odmieniła swój zamiar i dała tylko 500. Ażebyście wierzyli temu, co mówię, poślijmy po tę wdowę. Przyszła i powiedziała, że to prawda, co patrjarcha mówi.

4. Św. patrjarcha opowiedział, że od pewnego wiarogodnego człowieka słyszał, co następuje:

Był w Afryce bardzo bogaty człowiek, imieniem Piotr, ale nadzwyczaj skąpy i dla ubogich niemiłosierny. Pewnego razu ubodzy skupili się razem w tem mieście, gdzie Piotr mieszkał, zagrzewając się na słońcu. Pokazywali sobie domy, gdzie ich częste spotykały jałmużny, a gdzie ich od progu odpędzano. Jednych wysławiali przed Bogiem, a drugich oskarżali o brak litości. Zwłaszcza onego Piotra potępiali, że między nimi niema nikogo, któryby kiedy od niego wziął jałmużnę. Wyrwał się jeden żebrak, mówiąc: Co mi dacie, jeżeli ja dziś od niego wymogę jałmużnę?

Tedy podszedł ów ubogi pod Piotra bramę. W tym czasie jego piekarz muła z chlebem prowadził, a sam pan, ów Piotr bogaty, szedł za nim. Zmiłuj się, panie, błaga ubogi Piotra, bardzo jestem głodny. Jeszcze z twojej ręki niczego nigdy nie dostałem. Niech mię dziś to szczęście spotka, aby cię Bóg jeszcze większem obdarzył.

Rozgniewany Piotr, rozglądał się za kamieniem albo czemś twardem, aby nań rzucił, a

nie znalazłszy, chleb jeden porwał i ze złością nań cisnął. Porwawszy chleb ubogi, pobiegł i u towarzyszy zakładu się upominał.

Trzeciego dnia ów skąpy Piotr wpadł w ciężką niemoc. Przyszła nań mdłość wielka, w której zasnąwszy, miał takie widzenie, jakoby go na sąd Boży wezwano. Ujrzał wagę, około której na lewej stronie stali straszliwi jacyś murzyni, kładąc na nią wszystkie jego grzechy. Na drugiej stronie stali piękni mężowie w bieli, bardzo smutni, szukając, coby na drugą szalę mogli włożyć na przeważenie grzechów. Jeden z nich rzecze: Nie masz nic, tylko bochenek chleba, co przed trzema dniami dał ubogiemu i to nie z dobrej woli. I włożyli na wagę ten bochenek, ale za mało ważył, bo druga szala, gdzie były grzechy, poruszyć się nie mogła. Idźże, Piotrze, rzekli do niego, i dokładaj, co możesz do tej wagi, bo ci, oto, murzyni czyhają na cię. — Ocknął się i rzekł do siebie: Widziałem moje grzechy i moc jałmużny, ale moja jałmużna była niedostateczna. Miłosierni miłosierdzie dostąpią. — I stał się wielkim jałmużnikiem.

Raz prosił go o jałmużnę taki, który wszystko stracił na morzu przy rozbiciu się okrętu i był na pół nagi. Piotr, zdjąwszy ze siebie swoją drogą szatę, dał mu ją. On w niej chodzić nie chciał, bo bardzo była kosztowna, ale ją sprzedał. O czem dowiedziawszy się Piotr, smucił się, że przy ubogim pamiątka miłosierdzia jego nie została.

Ukazał mu się mąż dziwny, jaśniejszy niż

słońce, który się go spytał: Czemu się Piotrze smucisz? A on, jakby w nim widział Chrystusa, rzecze: Panie, gdy dajemy ubogim, co mamy od Ciebie, oni tego używać nie chcą. I to mówiąc, poznał na Nim oną szatę, którą dał ubogiemu. — I rzecze mu Pan: A znasz tę szatę? — Znam! — Oto widzisz, Mnie ją dałeś i Ja w niej chodzę. — Ocknąwszy się, pomyślał sobie, że jałmużna, chociaż się dostanie w ręce niegodne, ma wielką wartość przed Bogiem.

Później ten sam Piotr, jałmużnami wyczerpany, kazał się sprzedać słudze. Cokolwiek na mnie uzyskasz, daj na ubogich. Takie mu dał polecenie.

Opowiadając tę historję i inne tym podobne o zaprzedanych w niewolę dla ubogich swoim szafarzom, św. patrjarcha, Jan Jałmużnik, cały się zalewał łzami, dodając te słowa: Kochani Chrystusowi! Na cóż się przyda człowiekowi rozprawiać tylko o uczynkach Świętych Pańskich. Wierzcie mi, że aż do dnia dzisiejszego rozumiałem, że też coś uczyniłem, dając jałmużnę — ale nie wiedziałem, żeby i samych siebie ludzie sprzedawali, zdjęci litością.

XIII.

MIŁOSIERDZIE WZGLĘDEM CHORYCH.

Pobudki do miłosierdzia ze względu na chorego.

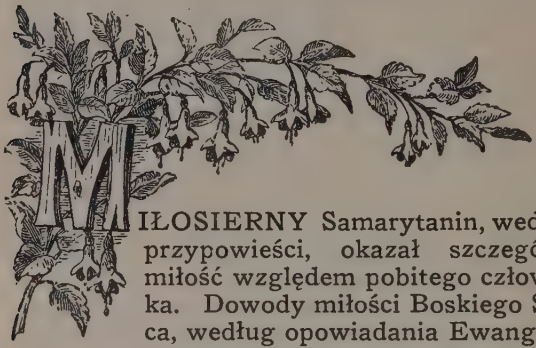

MIŁOSIERNY Samarytanin, według przypowieści, okazał szczególną miłość względem pobitego człowieka. Dowody miłości Boskiego Serca, według opowiadania Ewangelji, w stosunku do chorych, kalek są tak liczne i zadziwiające, że się zdaje, jakoby tylko na to na ziemi Zbawiciel się okazał, by się nimi zajmować. Poucza nas, jak to jest ważny obowiązek. Ważny ze względu na naszą św. wiarę, bo ją podnosi, wzmacnia, uświetnia i do niej pociąga. Ważny ze względu na całą ludzkość, bo ją uszlachetnia i tę podniosłą myśl żywi, że jeszcze nie jest tak źle na świecie, skoro miłosierdzie i miłość nie da biedakowi na łożu boleści marnie ginąć, ale, co może, czyni, by mu zdrowie przywrócić lub w chorobie pocieszyć. Ważny ze względu na nas samych, bo, co chorego dziś spotkało, to samo jutro może się i nam zdarzyć. Gdy zaś dziś nad nim spełnimy uczynek miłosierdzia, jutro przy na-

szem łożu znajdziemy opiekunów. Gdyby miłość i miłosierdzie względem chorych ostygło lub zupełnie zamarło, czemże będą szpitale, choćby po królewsku urządzone? Czemże będą wszelkie zakłady chrześcijańskiej opieki, ochronki, domy starców, sierocińce i inne przytuliska? Będą tylko nieznośnem więzieniem, torturą, poczekalnią, z której biedny skazaniec ma być w krótce wyprowadzony na śmierć.

Aby ten święty obowiązek miłosierdzia względem chorych według myśli B. Serca spełnić, mimo naturalnego wstrętu lub niechęci, rozważmy szczegółowe pobudki i zachęty.

Ze względu na chorego. Do miłosierdzia pobudza nas jego stan opłakany, co do ciała i co do duszy — jego groźne niebezpieczeństwo, w którem nieraz pozostaje, a często nie zdaje sobie z tego sprawy.

1) Stan opłakany, godny politowania ze względu na chorobę cielesną często nas samych wstrząsa i denerwuje. Biedak w swojej niemocy nie może się nieraz o swoich siłach ani podnieść, ani usiąść, ani z boku na bok obrócić. Po operacji n.p. musi w jednej tylko pozycji spokojnie leżeć przez dłuższy czas wśród cierpień i rozdrażnienia. — Czy to mało zwieziono z placu boju na wojnie takich kalek, którym kule ręce i nogi poodrywały? Co za nędza politowania godna! — Można było widzieć w szpitalach i takich nieszczęśliwych, co wprawdzie żyli, ale paraliżem w całem ciele dotknięci, nie mogli się poruszyć. Do Lwowa przywieziono żołnierza, co ugrzązł w znanych

błotach rzeki Wereszycy koło Gródka Jagiellońskiego w Małopolsce. Setki innych te bagna pogrążyły, że i śladu po nich nie zostało. On był bardzo wysoki i to go ocaliło. Gdy wpadł w bagno i grzązł coraz to niżej, oparł się jednak nogami o twardą warstwę ziemi, ale już tak zabrnął głęboko, że mu błoto do ust sięgało. Z całej siły wyciągał szyję, żeby się nie dać zalać. Tak blisko trzy dni pozostał. Gdy się bitwa skończyła i wojska ustąpiły, ci, co trupy grzebali, spostrzegli nieboraka. Wyciągnęli go wprawdzie żywego, ale jakby martwego. Bezprzytomny leżał, jak kłoda, w lwowskim szpitalu.

Stan opłakany chorych pogarsza ta okoliczność, że nie wszyscy z nich mają środki, aby się leczyć, a ci, od których mogliby się spodziewać opieki, są za biedni, by im mogli przyjść z pomocą. — Czasem znowu mogliby i powinniby liczyć na miłosierdzie ludzkie, bo sami za czasów zdrowia uczynki chrześcijańskiej miłości chętnie spełniali. Ale w sercach twardych, samolubnych i nieużytych trudno wzniecić iskrę litości. Własne nawet dzieci, zwłaszcza bezreligijnie wychowane i zbytnią swobodą rozpuszczone, opuszczają chorego ojca lub matkę. Milsza im rozrywka i nocna schadzka, aniżeli nudne czuwanie przy łożu ich najlepszych dobrodziejów. Niewdzięczne dzieci nieraz nawet z niecierpliwością wyczekują śmierci rodziców, by się ich pozbyć i majętność po nich zagarnąć. Ciężka to dola niedołężnych i schorzałych staruszków, gdy

widzą, że tym zawadzają, dla których poświęcili trudy, życie i serce. Biedna matka, wsparta na lasce, wyniszczona chorobą, tuła się po obcych domach, albo w swojej niemocy musi jeszcze ciężko pracować na swoje utrzymanie, podczas gdy jej dorosłe dzieci, dosyć dobrze zaopatrzone, odpychają ją od swego progu, tłumacząc się po faryzejsku, że u nich ciasno, wiele dzieci, ciężkie czasy, lichy zarobek i że matka ma jeszcze dosyć siły, by sobie zarobić na życie.

Stąd cierpienia moralne przygniatają duszę większą boleścią aniżeli ciało dolegliwości fizyczne. Gdy choroba przytłumi ten zgiełk zajęć, w którym głos sumienia był zgłuszony, usłyszy chory, co winien Bogu i swej duszy. Dla Boga i duszy nie było czasu. Na Mszę św. w niedziele nie można było chodzić, bo któż stanie za mnie przy dzieciach, kto w sklepie będzie wydawał mięso i inne artykuły spożywcze, kto będzie zajmował się gośćmi, co w niedzielę ze sąsiedztwa do mnie przyjeżdżają, kto będzie przygrywał na zabawach i tańcach, kto będzie zwoływał i prowadził mityngi? Choroba wszystkie te niby ważne i konieczne sprawy przerwała i odłożyła na bok. Znaleźli się inni, co mię zastąpią, i bezemnie wszystko pójdzie zwyczajnym trybem. Sumienie wyrzuca, że i ciało i duszę przy dobrej woli można było obsłużyć.

Odsłania też i to, co w sercu od wielu lat niepokoi i cuchnie. Jakie były moje spowiedzi? Jeszcze od lat dziecięcych coś w duszy

w nieporządku! Ślubna spowiedź była obłudna i świętokradzka. Chciałem oszukać księdza, lecz bardziej jeszcze siebie wywiodłem w pole! Jak te i inne powikłane sprawy uporządkować? Takie myśli rozdzierają mu duszę.

Gdyby jeszcze te niepokoje, przynajmniej w obliczu śmierci, duszę z odrętwienia wyprowadziły i do pokuty pobudziły! Byłby to znak, że, chociaż człowiek niema nad swą duszą litości, Bóg mu jednak przez chorobę rękę miłosierdzia podaje. — Lecz bywa i inaczej!

Chory, który przez swoje występki nagromadził chmury gniewu Bożego nad sobą, wśród ciemności grzechowej niedostrzega nieraz groźnego niebezpieczeństwa. Jest to cisza przed burzą. „Dajcie mi spokój z księdzem— jeszcze nie tak źle, jak się wam zdaje," mruczy niekontent. — Nieraz na wspomnienie o księdzu wybucha gniewem, miota przekleństwa. Co za ślepota i niedola! Co tu trzeba oględnej ostrożności, co czułej uprzejmości i opieki, co serdecznej namowy, a jeszcze więcej modłów, by to twarde serce pozyskać Bogu, z tej opoki choć iskrę żalu wykrzesać i tę rogatą duszę gwałtem do nieba wepchnąć!

Jeszcze nie wyczerpaliśmy wszystkich pobudek, by się zachęcić do miłosierdzia względem chorych. Zostawimy sobie parę innych na później.

XIV.

MIŁOSIERDZIE WZGLĘDEM CHORYCH.

Ze względu na otoczenie chorego.

ZEGO się uczą ci, co pielęgnują chorego lub ci, co go odwiedzają? Poznawają 1) W z a j e m n ą z a l e ż n o ś ć. Taft, były prezydent Stanów Zjednoczonych, gdy się o ten urząd ubiegał, dla pozyskania głosów przemawiał w różnych miejscach, nawet wobec szkolnych dzieci po polskich parafjach. Tłumaczył im przystępnie, co to jest prezydent? Nie jest to pan niezależny od nikogo, samowładny, wystarczający sobie. Wszędzie i zawsze potrzebuje innych do rady i pomocy czy to przy stole, aby mu potrawy przyrządzano, nakryto i podano posiłek — czy to w kancelarji, aby mu pokój ogrzano, oczyszczono, oświetlono, podano przybory do pisania, zaniesiono na pocztę listy — czy to w chorobie, aby go obsłużono i doglądano. Na potwierdzenie przytoczył znaną bajkę o lwie i myszy, która mu we śnie przeszkadzała. Daruj mi życie — prosi mysz — ja ci się odwdzięczę. — Ty? Czem? — Lew dostał się w sieci i byłby zginął. Mysz usłyszała jego ryk, przybiegła, przegryzła sznury i lwa uratowała. — Nikt sobie sam nie wystar-

czy. Potrzebna nam miłość, wyrozumiałość i uległość względem innych. Stąd nauka, że trzeba najpierw własną miłość zwyciężać i swoje samolubstwo. Nie jestem jedynym celem moich starań, trosk i zabiegów, ale i mój bliźni. Wszyscy dopiero stanowimy całość. Kto tylko siebie szuka, a nie ma względu na innych, ten w niedoli nie może liczyć na innych pomoc, będzie osamotniony i opuszczony. — Powtóre, trzeba się starać o miłość czynną. Jaką miarą mierzysz, taką ci odmierzą. Dobrodziejstwo, przysługa jest jakby policą asekuracyjną w naszem opuszczeniu i nędzy. Świadcząc dobrodziejstwa innym, asekurujesz się na wypadek niedoli i nieszczęścia. Gdy mię Bóg dotknie krzyżem, znajdę pomoc, zabezpieczenie.

2) Różne zbawienne myśli według tego, na kogo patrzą. I tak, patrząc na

a) Winowajców, rozpustników i na te osoby, co chorobę złem życiem na się ściągnęły, co sobie myślą? Że ich boleści, to jakby dłuto, co ryje na naszem sercu tę prawdę: Przyjemne początki złego, ale koniec żałosny. Zerwał grzeszny owoc, zhańbił ciało, zamęczył duszę zgryzotami sumienia. — Wśród tego rozważania obudza się w nich wstręt do grzechu. Patrz! Oto owoc rozpętanej namiętności, przygrywka strasznych mąk w przyszłem życiu! Kto na ten widok nie przejmie się zgrozą grzechu? Czyjeż nie odmieni się serce? Popatrz na łoże

b) Niewinnego, sprawiedliwego, czło-

wieka poświęcenia. Jakie myśli rodzą się w duszy? Oto leży ofiara swego zawodu i powołania: kapłan, lekarz, żołnierz, ciężko raniony, dobroczyńca ludzkości. Jaki spokój i rezygnacja! Zdaje się, że widzimy nagrodzoną miłość zawodu i poświęcenia.—Tam znowu łamie się podpora familji: ojciec, opiekun, matka. Wszyscy, co stoją obok, odczuwają, jaka to będzie strata! Jęki, szlochania, boleść rozdzierają serca. On jeden, choć wiele cierpi, utrzymuje się w równowadze, spokojnie zgadza się z wolą Bożą, nie żali się — owszem, ustami, okiem pociesza zasmuconych. Wie, że się z nimi rozstanie z nadzieją zobaczenia się poza grobem. Jego cierpliwość i wielkoduszność jest balsamem na rany serc zbolałych.— Cześć cnocie! Niejednemu to przyjdzie na myśl.

Wogóle mówiąc, widok choroby wzbudza w nas uczucia nadzwyczajne, nadziemskie, myśl kieruje ku niebieskiej krainie. — Uderza nas czczość i marność rzeczy ziemskich, że są niestałe, nie warte naszych zabiegów, że zbytnie do nich przywiązanie odpłaca się goryczą po ich stracie. — Obudza się w nas pragnienie rzeczy wiecznych tam, gdzie niema ułudy, rozłąki i boleści. — Kiełkuje i wzrasta dążenie do nich w wierze, miłości, umartwieniu i zgadzaniu się z wolą Bożą. — Nie unikajmy łoża chorych, ale z tej szkoły wynośmy mądrość. „Lepiej iść do domu żałobnego, niż do domu godowego, bo w owym przypomina się koniec wszystkich ludzi, a człowiek żywiący rozmyśla, co potem będzie." (Ekl. 7. 3.).

XV.

ŁOŻE BOLEŚCI—SZKOŁĄ CHRZEŚCIJAŃSKIEJ MĄDROŚCI—CZYLI CZEGO UCZY CHOROBA?

OBITY i zraniony przez zbójców na drodze z Jerozolimy do Jerycha dopiero w swem cierpieniu nauczył się wiele rzeczy, nad któremi przedtem albo się nie zastanawiał, albo nie mógł zrozumieć, choć mu się nasuwały. Między innemi trudno mu było zapewne pojąć, że wróg może się poświęcić dla wroga i kochać go. Dopiero choroba, niemoc oczy mu na to otworzyły, gdy widział, że Samarytanin, wróg jego, to uczynił, na co się nie zdobył starozakonny kapłan i lewita. — Wprawdzie nie czytamy wyraźnie w tej przypowieści, jakie były jego uczucia. Możemy jednak wnosić, że wśród cierpień weszły do jego serca różne zbawienne myśli, które i na uleczenie duszy wielce wpłynęły.

Nas też choroba, czy prędzej czy później, nawiedzi i pobije. Pobije, nie tak jak zbója, aby zabić i obrabować, lecz jako dobry ojciec, co nie szczędzi rózgi synowi. Bije, ale poucza, że musi chłostać, nie na to, aby swą zemstę wylać, lecz na to, aby synowi przypomnieć

obowiązki, Boga przeprosić i sprawiedliwości uczynić zadość.

W tym sensie poddawajmy nasze plecy pod chłoszczącą rózgę choroby, słuchając bacznie, czego nas uczy.

Czego uczy choroba? Wskazuje nam:

1. Własną wartość albo niedolę. W chwilach zdrowia i szczęścia zwracał oczy na wszystko koło siebie, ale rzadko albo i nigdy nie zajrzał we wnętrze duszy. Był wszędzie, ale nie w sobie, różne poczynił znajomości, ale swego serca nie poznał. Teraz widzi a) Swoje uczynki. Wiele z tego, co uważał za szczere złoto, wyda mu się w chorobie tylko pozłótką, falsyfikatem, pozorem cnoty, bez wartości, oparte na pobudce miłości własnej. Zdawało mi się — pomyśli— żem był pobożny, przywiązany do św. wiary, ksiądz proboszcz mię chwalił, stawiał za wzór parafjanom, wysuwał na pierwsze miejsca w bractwach i w zarządzie kościelnym. Pobudka próżności i górowania nad innymi trzymała mię przy Kościele i księdzu. Gdyby mię był pomijał, lekceważył i moje błędy wytykał, pozostałbym oziębłym katolikiem a może nawet łączyłbym się z wrogami wiary i duchowieństwa. Modliłem się wprawdzie, ale raczej do księdza, aniżeli do Boga. Choroba prawdę powie. — Inne też cnoty w chorobie bardzo blade i słabe przedstawiają kolory. — Nie używałam wprawdzie rozpalających trunków— przyjdzie na myśl chorej niewieście — nie ty-

kałam słodyczy, ciast zbytkownych, cukrów sztucznie zaprawianych, nie lubowałam się w pachnidłach, pudrach i maściach, by sobie cery dodać, nie ubierałam się w obcisłe suknie i inne dziwactwa mody były mi obce — ale dlaczego to czyniłam? Dla względu ludzkiego. Bałam się, by złego wrażenia nie sprawić, aby kształtnej formy nie stracić i okrasy oblicza. W mojej pobudce nie było nic Bożego, nic wyższego — tylko moje „ja" przeglądało.

Widzi też chory b) Zaniedbane obowiązki, czy religijne, czy swego stanu, czy względem innych mnóstwo uchybień. Przypomina mu choroba opuszczone z niedbalstwa Msze św., niezachowane posty, zaniedbane spowiedzi, niedbały pacierz albo nigdy nie odmawiany. Stawi przed oczy krzywdy, pożyczki nie zwrócone, obmowy, oszczerstwa i krytyki, których nie starał się wynagrodzić, odwołać i możliwym sposobem naprawić. Przy spokojniejszem rozważaniu pozna, jakie to szkody i straty mogły z tego wyniknąć! Wyjdą na jaw zgorszenia, jakie dawał czy słowem czy uczynkiem czy zaniedbaniem spełnienia obowiązku. Choroba to odkryje, co przedtem uszło uwagi.

Pozna też chory 2) Wartość dóbr zewnętrznych, przedewszystkiem zdrowia, o którem poeta powiedział: „Szlachetne zdrowie — nikt się nie dowie, jako smakuje — aż się zepsuje." — Niejeden młody i silny człowiek traci zdrowie w usłudze grzechu. Dopiero na łożu boleści nauczy się je

cenić, zazdrości innym, pragnie je odzyskać, chociaż nieraz za późno. Choroba da mu taką naukę, jakiej od profesorów uniwersytetu nie usłyszy. Młody, a zmarnowany urzędnik rozpustą i pijaństwem zostawił przed śmiercią w pamiętniku ciekawe i ważne słowa, które warto przytoczyć. „Za mało miałem pieniędzy, aby pić strugi lub bodaj tylko lizać ochłapy wyszukanych rozkoszy. Piłem jednak bez upamiętania aż do śmiertelnej własnej zaguby. Nie długo bowiem organizm człowieka może wytrzymać bezkarnie te gwałtowne wstrząśnienia ducha, te fizyczne wyczerpania ciała. Choroby weneryczne, rak, gruźlica, oto niezawodne zwiastuny śmierci, które znalazły dla się grunt przez alkohol i prostytucję.

Lecz kto mię dobił? Kto mi tę drogę zguby wskazał? Uniwersytet i młodzi profesorzy. Chcą się popisywać ze swojem wykształceniem przed świeżo upieczonymi akademikami. Nie baczą, ile oni to złego robią, roztaczając przed nimi swoje mrzonki naukowe o ewolucji materji, na temat naszego braterstwa czy też synowstwa z małpami. Gdyby ci panowie profesorowie wiedzieli, ile złego przynoszą ich wykłady, nie głosiliby z takim naciskiem, że materja jest źródłem i celem wszechrzeczy, a zjawiska duchowe to tylko procesy podobne do wydzielania żółci w wątrobie lub kału w jelitach. Takie słysząc mrzonki naukowe, niemal większość młodzieży po swojemu naturalne wyprowadza wnioski: A więc baw się, jedz, pij, używaj, bo po śmierci z garstki twych po-

piołów roślina zabiera trochę składników chemicznych i nic więcej z ciebie nie zostanie! Co to wtedy młodemu człowiekowi mówić o jakiejś etyce, moralności, skoro odebrano mu wiarę w życie pozagrobowe, a tem samem zerwano niemal wszystkie pęta wiążące jego namiętność! To też używają, bawią się zwłaszcza takie słabe charaktery, jak ja, dochodząc wreszcie, jak ja doszedłem, do neurastenji i delirjum, albo z powodu gruźlicy lub paraliżu postępowego marny kończąc żywot. — Czy wiedzą ci panowie głęboko uczeni, że taki młody człowiek, wróciwszy nad ranem do siebie po przehulanej nocy, nieraz z lubością patrzy w nabitą lufę rewolweru i bawiąc się tem pieścidełkiem jedynie z powodu jakiejś jeszcze iskierki miłości dla matki lub rodziny, kurka nie pociągnie i kuli w przesycony rozkoszą mózg swój nie wpakuje. Lecz od takiej zbrodni chroni go drgnięcie ręki lub kamienny sen, co go, filozofującego nad marnością życia, chwilowo w swe objęcia bierze. — Lecz do czasu tylko igrać z ogniem można. W końcu coraz silniej budzi się chęć przykładania takiego rewolweru do swej skroni. Coraz większa ochota zbiera pociągnąć kurek. Wreszcie czyni się zadość uparcie dręczącej myśli, rozlega się huk, a człowiek z dziurą w skroni i z kulą w mózgu w śmiertelnych drgawkach pada na ziemię. — Ach, niestety, nigdy na tyle upić się nie mogę, aby nic nie myśleć, nic nie czuć, niczego się nie lękać. Tymczasem gdy wyjdę z szynku, jakieś mary plączą się koło nóg mo-

ich, kopane skowyczą, lecz za mym śladem ciągle idą i nieraz do kolan mi skaczą..."

Poznał ten nieszczęśliwy młody człowiek w chorobie, jak opowiada w swoim pamiętniku, jak należało żyć, jakich nauczycieli słuchać — ale już po niewczasie, bo ze strachu przed upiorem wyskoczył przez okno druzgocąc sobie czaszkę.

Jaką jeszcze lekcję wygłasza nam choroba, w dalszym ciągu w następnem rozmyślaniu dokończymy.

XVI.

ŁOŻE BOLEŚCI — SZKOŁĄ CHRZEŚCIJAŃSKIEJ MĄDROŚCI.

poprzedniem rozmyślaniu słuchaliśmy nauki, jaką daje choroba ze względu na samego chorego, ale trudno było dosłuchać się do końca, bo jej tak wiele, że jej nie można objąć w grubej książce. Wróćmy się jeszcze do tej szkoły i posłuchajmy dalej, czego nas chory uczy?

Powiedział nam poprzednio, że na łożu boleści poznał własną niedolę, uznał, że jego uczynki, które uważał przedtem za dobre i chwalebne, niczego nie są warte, bo były podszyte miłością własną, czyli, jak mówią, egoizmem. — Dostrzegł, powtóre, że wiele zaniedbał obowiązków i to ważnych, które za bagatelę uważał. — Zewnętrzne dobra, jak zdrowie, zaczął dopiero po ich utracie cenić. Pragnął je odzyskać, ale było zapóźno.

A teraz mówi dalej, że na te dobra ziemskie inaczej patrzy, jakie były jego bożyszczem, jedynem pragnieniem, celem życia i szczęśliwości. Nazbierałem pieniędzy—duma—i cóż mi po nich? Wszystko zostanie, i kto wie, w jakie przejdzie ręce?

Kochałem je więcej niż Boga. W niedziele i święta nakazane z obrazą Bożą trudziłem się za niemi w sklepie, w szynku, przy robocie w fabryce. Nikt mię nie zmuszał do tej pracy i zarobku. Pchała mię tylko chciwość. Trzęsła mi się ręka, gdy trzeba było Bogu parę groszy na ofiarę poświęcić, a szatanowi pełną garścią sypałem w paszczę piekielny podatek. I jaka korzyść? Zmarnowałem zdrowie na pijatyce, przy kartach, na rozpuście, żonie zatrułem życie, dzieciom dałem zły przykład, straciłem sławę i dobre imię u ludzi i sumienie zgryzotą napełniłem. Leżę na tem łożu, jak na mrowisku, kąsany przez owady.

Przynieśli mu gazetę z poczty. Jakże on czekał na nią, gdy był zdrowy, jak ją pochłaniał zwłaszcza te ustępy, gdzie księży, biskupów i papieża brudzono. Teraz za słaby do czytania, a nawet nie ochotny. Czuje wstręt do tej podłej oświaty, co kosztem cudzej sławy chce błyszczeć, namiętnościom ludzkim dogadzać i „życie robić." Wstrząśnięciem głowy i pogardliwym ruchem ręki dał znak, że z tak nikczemnem pismem nie chce mieć nic wspólnego.

Powiódł powolnym wzrokiem po tych o s o b a c h, c o b y ł y p r z y n i m, czy się nie dziwią jego zmianie. Ujrzał s ł u ż b ę. Obok w kącie siedziała stara m a t k a, łzy ocierając — tam dalej dostrzegł wchodzącego d o k t o r a. — Nowe, poważne myśli świtają w głowie. Com ja z tą służbą nie wyrabiał? Co ci biedacy mieli ze mną do wycierpienia!

Nie mogli mię nigdy zrozumieć i dogodzić moim grymasom! A jednak jak cierpliwie chodzą koło mnie! Choroba uczy ich cenić.

A moja matka, ojciec? Może więcej cierpią odemnie i to cierpienie ukrywają, by mi oszczędzić bolu. Cierpią przezemnie teraz, widząc moje cierpienie, lecz cierpieli i przedtem, gdy byłem zdrowy wskutek mego nieposłuszeństwa i krnąbrności. Mimo to najczulszą opieką mię otaczają, doglądając i w dzień i w nocy. Czy ich nie kochać, wdzięcznością za miłość nie odpłacać? Jasno i dobitnie wykłada choroba ważność i znaczenie czwartego przykazania Bożego!

Oto lekarz! Wyśmiewał przedtem sztukę lekarską, kpił z lekarstw, teraz z upragnieniem i zaufaniem pragnie jego pomocy. Zwraca baczną uwagę na jego ruchy i słowa, aby podchwycić, co lekarz o nim mówi. Lekarz ostrożnie wypowiada swe zdanie i zdradza wątpliwość, czy chory wyzdrowieje? Radzi, aby k s i ę d z a zawołać. — Z księdza kpił przedtem, nazywał go zacofańcem, wrogiem oświaty i postępu, zdziercą, unikał go, gdy chodziło o daninę kościelną i zamykał drzwi przed nim. Teraz chciałby go mieć jak najprędzej przy sobie i usłyszeć pociechę, jako od przyjaciela. Ojcze duchowny — szepcze urywanemi słowy — już wszystko mię opuszcza, żeby tylko Bóg nie opuścił! Pomóż mi Go przeprosić i miłosierdzie u Boskiego Serca wyjednać! Kapłan, jak miłosierny Samarytanin, ogląda rany duszy, czyści je, wlewa oli-

wę. Wprawdzie ból ciała gniecie, ale dusza swobodna. Rozgrzeszenie kapłańskie, zachęta do znoszenia krzyża na wzór Chrystusa podniosły na duchu nieboraka. Budzi się w nim i dojrzewa uczucie szacunku do religji, co tak błogi balsam podaje. Rośnie cześć i zaufanie do lekarzy duchownych i tak się utrwala, że, gdy choroba minie, niezapomni być wdzięcznym, ale jako dobry katolik przylgnie całem sercem do wiary i do jej praktycznych obowiązków. Choroba to sprawiła.

A gdzież są p r z y j a c i e l e? Jeden, drugi zaglądał, zwłaszcza z takich, co przyjaźń na Bogu i na cnocie zakładali. Niema tych, co ją zasadzali na kieliszku, na kartach i na wyuzdanych schadzkach. Jakążby mu zresztą bezbożny przyjaciel dał pociechę i radę? Włożyłby mu może nabity rewolwer do ręki, albo truciznę podał, żeby skrócić boleści ciała. Oni tylko te środki znają, wyzuci z religji i ze szlachetnych uczuć ludzkich. — Choroba da mu poznać, co to są przyjaciele i na czem przyjaźń polega?

Krótko mówiąc — chory mądrzeje! Robi się z niego praktyczny, chrześcijański filozof. Choroba więcej go oświeciła, aniżeli wszystkie akademje, uniwersytety, uczelnie.

Przedewszystkiem te dwie rzeczy utkwiły mu w pamięci: Wartość łaski Bożej i kochający Bóg w niebie. Poznał, co to jest łaska Boża. Ten, co przedtem nie dbał o Boga i o wieczność, co z kpinami popełniał grzechy i zacne dusze wyszydzał — ten sam zaczyna

porównywać w swojem opuszczeniu i smutku szczęście ludzi, pozostających w stanie łaski ze swą niedolą. Skłania się do modlitwy, spowiedzi, Komunji św. i zaczyna stan łaski Bożej cenić. — O kochającym Bogu w niebie albo zapomniał, albo fałszywie Go pojmował tak, jak go nauczyli niedowiarkowie. Zapomniał, gdzie jest źródło błogosławieństwa. Uważał się sam za sprawcę swego szczęścia. Choroba czyni go bezradnym i bezbronnym. Zwraca oczy na Wspomożyciela, Dawcę łask wszelkich, budzi się w nim wiara w Opatrzność Bożą i jak Job na śmieciach i zgniliźnie mówi: „Wiem, że Odkupiciel mój żyje" — Odkupiciel wszystkowidzący, najświętszy i kochający. „Bojaźń Boża jest początkiem mądrości."

XVII.

SAMOLUBNY KAPŁAN STAROZAKONNY I LEWITA.

Dlaczego starozakonny kapłan i lewita nie ratowali pobitego przez zbóje?

RZYPOWIEŚĆ o Miłosiernym Samarytaninie jest jakby obraz, w którym malarz nagromadził wiele i różnych osób w różnobarwnych kolorach, wiele światła i cieni, wiele interesujących szczegółów, zlanych w jedność i harmonję. Jest w tym obrazie, jako główna figura, Samarytanin, z którego postępku wysnuliśmy ważną naukę o miłości bliźniego i nieprzyjaciół. — Skierowaliśmy następnie oko na chorego, co go zbóje pobili, i pouczyliśmy się, że choroba i łoże boleści jest szkołą chrześcijańskiej mądrości tak dla cierpiącego, jak i dla tych, co go obsługują i odwiedzają.

Widzimy też na tym obrazie i zbójców, którym się później bliżej przypatrzymy i kapłana z lewitą, jak się wygodnie urządzili. Nie zwa-

żali na scenę zgrozy i nieszczęścia, ale spokojnie sobie przeszli, jakby nic nadzwyczajnego nie zaszło.—Przychodzi nam tu na myśl, dlaczego tak postąpili? Bo byli samolubni.

Potrzymajmy przez chwilkę oko na nich, pytając się: Co to jest samolubstwo — jak szkodliwe i jak je Boskie Serce Jezusa leczy?

1) Co to jest samolubstwo? Jestto nieporządna miłość siebie samego. Czy nie wolno siebie samego kochać? Wolno i trzeba, ale w miarę, rzetelnie. Wolno i trzeba, bo miłość nas samych ma być miarą i wagą miłości bliźniego. „Kochaj bliźniego swego, jak siebie samego" (Mar. 12.). Co to znaczy? Nie czyń drugiemu, co tobie nie miło, a czyń to, czegobyś pragnął, aby inni tobie czynili.

Lecz niestety ta miara czasem jest albo za krótka, albo za długa, albo źle stosowana — i w tem jest samolubstwo. Za krótka, gdy bliźniemu tego odmawiamy, czego sami pragniemy — za długa, gdy dla naszej wygody bliźniemu za wiele pozwalamy — źle stosowana, jeżeli ją tylko do siebie przykładamy, swoje tylko „ja" mierzymy i ważymy, lekceważąc Boga i ludzi. — Jak zaś to samolubstwo, czyli miłość własna jest

2) Szkodliwa, widzimy stąd, że ta namiętność jest pochlebcza, zdradliwa i uparta.

Jest a) pochlebcza, bo to domownik, co się z nami zrodził i wychował, a tak czule i miło umie do nas przemówić, tak ładnie rzecz przedstawić, że mu się trudno oprzeć. Cho-

ciaż sumienie nas niepokoi i ostrzega, ten jednak pochlebca wykpi jego dowody i pogodzi głos sumienia z naszem niebezpiecznem pragnieniem. — A że to pragnienie jest b) podstępne i zdradliwe, widać stąd, że ten wróg przybiera wszelkie formy, by nas oszukać. Przedstawia rozumowi to, jako dozwolone, co w innych gani. Przybiera maskę cnoty. Gniew i zemstę przedstawia, jako wymiar sprawiedliwości — pychę, jako ambicję i bohaterstwo — rozrzutność, jako hojność, wspaniałomyślność — lekkomyślne i wolne przestawanie z osobami innej płci jako grzeczność lub niewinną zabawkę — zajęcie się bliźnim w nieszczęściu, jako zbyt wielki ciężar, który na inne barki spaść powinien. Wtem właśnie samolubstwo starozakonnego kapłana i lewity wystąpiło. — Że zaś ten wróg jest i c) uparty, sami o tem wiele moglibyśmy powiedzieć, przeliczając nasze upadki zwłaszcza wtedy, gdy się do spowiedzi wybieramy. Jak nam to żal, żeśmy znowu upadli w te same grzechy, które już nieraz wyznawaliśmy na spowiedzi. Któż nas w nie popchnął? Miłość własna, czyli nasze zachcianki. Dla nich podeptaliśmy prawa Boskie i ludzkie.

Boskie Serce widząc, jak ten wróg nami miota i zadaje głębokie rany, 3) podało nam lekarstwo. Na cóż Zbawca zstąpił na ziemię i tyle cierpiał? Czy z konieczności? Czy za Swoje winy? Nie na to, ale na to, aby nasze samolubstwo wyleczyć i miłość własną, co się rozkochała w stworzeniu, ku Stwórcy zwrócić.

I tak w każdym kierunku, na wszystkie rany, jakie samolubstwo zadaje, podał nam środek. Samolubstwo siebie ubóstwia, na gwiazdach z lucyferem tron zakłada—Zbawca z nieba schodzi na ziemię, w stajence między bydlęty majestat kryje. Samolubstwo przechwala się i wszystko sobie przypisuje — Zbawca nie szuka chwały Swojej, ale Swojego Ojca. Samolubstwo nie ma ochoty do modlitwy lub w swojem roztargnieniu krótko ją zbywa — Boskie Serce noce nawet obraca na nią i tak gorąco ją odprawia, że krwawy pot spływa z Jego oblicza. Samolubstwo dogadza sobie w pokarmach i napojach — Boskie Serce żółć z octem pozwala Sobie podać. Samolubstwo bez zmysłowych rozkoszy nie umie pojąć życia, tarza się w nich, jak bydlę—Zbawca do słupa przywiązany, znosi obnażenie i chłosty. Samolubstwo w wygodach, na ubóstwo patrzy jak na zarazę — Boskie Serce je chwali i praktykuje. Samolubstwo w swej pasji zapędza się w gniewie i zemście aż do szaleństwa — Boskie Serce milczy wśród obelg i za wrogów się modli. Samolubstwo nie ma pojęcia o zaparciu się i umartwieniu i drobny krzyżyk zrzuca ze siebie — Boskie Serce ciężki krzyż wkłada na Swe ramiona i na nim dopełnia Swej ofiary.

Czy nam miło patrzeć na samolubną postać starozakonnego kapłana i lewity? W kimżeby samolub wstrętu nie wzbudził? — Przeciwnie miłosierny Samarytanin, w którym widzimy miłosierne Serce Jezusa, jak bardzo nas pociąga i chęć do naśladowania obudza!

Jeżeli do samolubstwa wstręt i obrzydzenie czujemy, czemuż mu pozwalamy w nas gospodarzyć, jakbyśmy byli jego sługą? Weźmy je, jakto mówią, w obroty i z całych sił zwalczajmy. Do tego pomocne nam będzie następne rozmyślanie pod tytułem: Jak zwalczać samolubstwo?

XVIII.

JAK ZWALCZAĆ SAMOLUBSTWO?

(Starozakonny kapłan i lewita.)

JESZCZE stoimy przed obrazem miłosiernego Samarytanina. Namalowało go Boskie Serce w tym celu, aby Siebie przedstawić, a nas ośmielić, byśmy z Jego miłosierdzia korzystali. Podobała się nam na tym obrazie figura Samarytanina, a wstrętem przejęła nas postać starozakonnego kapłana i lewity. Nazwaliśmy ich samolubami. Co to jest samolubstwo i jak szkodliwe — widzieliśmy w poprzedniem rozmyślaniu. Obecnie nauczymy się, jak je zwalczać? — Niema na nie innej broni tylko ta jedna:

Poznać siebie samego i oswoić się z umartwieniem.

Jest to jakby nóż medyczny, służący do operacji. To, co nim lekarz czyni, czyńmy i my. On najpierw rozcina ranę i rozpatruje, gdzie i co boli — następnie wycina niezdrową cząstkę ciała. Chcąc się z choroby samolubstwa wyleczyć, trzeba rozcinać i wycinać. Rozcinać, czyli wnikać myślą w siebie samego, poznawać siebie — wycinać, to znaczy umartwiać się czyli zwyciężać siebie samego. W tem rozmyślaniu będziemy rozcinali, a w następnem wycinali.

Poznawanie siebie samego—jak jest trudne, jak ważne, jak to czynić? — Jest

1) T r u d n e, bo się sami łudzimy i inni nas łudzą.

a) Łudzimy się s a m i, bo nam się zdaje, że nie możemy upaść. „Ja sobie sam dam radę, ja siebie znam, ja nie dziecko, ja się wiele uczyłem" i tym podobne słyszy się często chełpliwe mowy. Nie długo czekać, a lada przypadek okaże, cośmy warci. Mistrze życia duchownego przyrównują samoluba do pawia. Mówią, że ten ptak roztacza swój barwny ogon i puszy się nadęty. Lecz, gdy rzuci okiem na brzydkie swoje nogi, zawstydzony zwija co prędzej ogon i pokornieje. Gdy nas samolubstwo i nadętość owładnie, zapominamy o naszych błędach i o tem, że więksi i głośniejsi od nas upadli, jak aniołowie, mocny Samson, pobożny Dawid, mądry Salomon. — Łudzą nas

b) i n n i, nawet tacy, co nam najbardziej szczęścia życzą. Jakto nieraz poczciwa matka w swojem dziecku tylko anioła widzi, chociaż ten anioł i w szkole i gdzieindziej ostre różki nadstawia. Siostry szkolne użalają się na nie, że brudne, leniwe i swawolne. Matka jednak bierze dziecko w obronę i często nawet przykrem słowem nauczycielki hańbi.

Łudzą nas wielbiciele prawdziwi i fałszywi, pochlebcy i lizonie, co pragną wykorzystać naszą próżność. Wmawiają w nas te cnoty, jakich nie mamy. Popatrzcie tylko na tych lekkomyślnych młodzieńców, co niejedno porządne dziewczę zbałamucili i do upadku do-

prowadzili. Jakie oni prawią im komplementy, jakie im czułe listy piszą, jakimi prezentami je wabią, by na brzeg przepaści ściągnąć. Niejedno uwierzyło i dało się złowić jak ptaszek w sidła. Gdy mu skrzydła podcięli i odarli ze czci panieńskiej, wtedy dopiero zrozumiało, że się stało igraszką swojego samolubstwa i pochlebstwa bezwstydnych uwodzicieli. Lecz już było zapóźno! — Rozważmy dalej, jak poznanie siebie samego jest

2) W a ż n e. Ważne, bo najpierw, o co właściwie chodzi w tej doczesnej pielgrzymce? O to, aby dobrą iść drogą. Lecz, jakże ją znaleść, jeżeli się nie znamy, to jest, jeżeli nam ją zasłania mgła naszych urojeń i fantazyj? — Jakże samolub może iść prawą drogą, skoro on tylko do swojej chwały i wywyższenia dąży, a pomija drogi praw Bożych? — Po drugie. Krążąc ciągle około swojego samolubstwa i niem się napawając, czy może być szczęśliwy? Czy może niewolnik albo więzień być szczęśliwy? Czy samolubstwo nie jest niewolnikiem swoich zachcianek i kaprysów? Czy mu może być życie miłe?

Jeżeli zatem samolubstwo zasłania nam prawą drogę żywota i przeszkadza do szczęścia, trzeba temu wrogowi śmiało zaglądnąć w oczy i dobrze go wyśledzić — ale

3) J a k? Czyli, jak poznawać siebie samego? a) Najpierw uważać na to, z c z e g o s i ę s p o w i a d a m y i co najczęściej do konfesjonału przynosimy. Wszystkie grzechy

z samolubstwa biorą początek. Złoszczę się, przeklinam — dlaczego? Bo mi się inni sprzeciwiają, niechcą uznać mojego zdania, mojej wyższości, mają mię za nic. — Obmawiam, oczerniam, krytykuję księży, biskupów i papieża, bo mi się zdaje, że ja znam lepiej od nich ich obowiązki, jak się powinni zachowywać, co uczyć i rozkazywać. Samolub szemrze nawet przeciwko Bogu. W swej pysze sądzi, że onby lepiej potrafił rządzić światem — on, co swoich zapędów namiętności nie może na wodzy utrzymać i sobie rozkazywać. I tak samolubstwo wszędzie i zawsze, jak to mówią, swoje trzy grosze włoży, wszystko zamąci i popsuje. — b) Po drugie. Wtedy też właściwa pora przyglądnąć się dokładniej sobie samemu, gdy nas inni ganią, upokarzają, gdy nas spotyka zawód. Chmur w duszy pełno, burzy się w sercu, przygnębienie nas ściska. Widzimy, cośmy warci, chociaż się nam zdawało, żeśmy wszystkich przerośli rozumem, dowcipem i doświadczeniem i nic nami nie wstrząśnie. c) Wreszcie, patrzmy w zwierciadło. Jakże zobaczyć plamy, krosty i wysypki na twarzy? Trzeba zwierciadła. „Uczcie się odemnie, że jestem cichy i pokornego serca," mówi Zbawiciel. W Boskiem Sercu nasze zwierciadło — w Jego cichości i pokorze. Tu się często zwracajmy i śledźmy nasze plamy. Niestety rzadko do Niego zaglądamy, bo też brzydki i piegowaty człowiek nie chętnie patrzy w lustro.

Lecz to jeszcze nie wszystko, co nas może wyleczyć z samolubstwa. Poznawać się, to znaczy rozcinać tylko ranę. Trzeba jeszcze zabrać się do wycinania. Na to będzie czas w następnem rozważaniu, gdy się powie o umartwieniu.

XIX.

CO TO JEST UMARTWIENIE I NA CO SŁUŻY?

(Starozakonny kapłan i lewita.)

JESZCZE nie spuściliśmy oka z kapłana i lewity, rozważając ich samolubstwo. Dlaczego nie ratowali biedaka, przez zbójów pobitego? Bo byli samolubni. Co to jest samolubstwo, widzieliśmy poprzednio. — A gdyśmy się zapytali, jak je zwalczać, nasunęła się naturalna odpowiedź: Poznać siebie samego i oswoić się z umartwieniem. Poznać się, uczyliśmy się w poprzedniem rozmyślaniu. Teraz o umartwieniu.

I. Co to jest umartwienie?

Może to znaczy biczować się do krwi, ujmować sobie potrzebnego snu i pokarmu, podkładać pod odzież włosiennicę, leżeć krzyżem, klęczeć godzinami na twardej i zimnej posadzce i tym podobnym dokuczliwościom ciało poddawać? Nie chcemy do takiego umartwienia

zachęcać. Nieraz osoba skłonna do zewnętrznych, nadzwyczajnych umartwień ciała tak jest swą pychą wstrętna, że jej trzeba unikać, a tak uparta, żeby nawet samego Ojca świętego nie usłuchała. Widzimy to na tak zw. Marjawitach, czyli, jak ich nazywają, na Mankietnikach w Polsce. Ich duchowni oblężeni w konfesjonałach, nie chcieli wstać na obiad, ale kazali sobie przynieść do kościoła parę kartofli w łupinach i wobec ludu je spożywali. Chcieli przez to pokazać, jak to powinien wyglądać sposób życia kapłana. Czy jednak wobec władzy są ulegli? Czy nawet papieżowi rożków nie pokazali? Czy od jedności wiary ludu nie oderwali i do schizmy nie pchnęli? — Podobno i wielu tak zw. Badaczy biblji przechwala się ostrą pokutą życia. Czy im to jednak będzie policzone za zasługę, skoro władzę kościelną mają w pogardzie i prawdziwych katolików odsądzają od czci i wiary?

Cóż więc jest umartwienie, należycie poznane? Jest tem w człowieku, czem kluczyk przy zegarku. Właściwie sprężyna cały zegarek w regularny ruch wprawia. Lecz i ona musi być nakręcana. To czyni kluczyk. — W człowieku sprężyną jest wola, a kluczykiem umartwienie. Ono to nakręca ją ku dobremu, a przez nią cały zegar człowieka reguluje, byśmy dobre życie wiedli według rozumu i wiary. Jest to moralne narzędzie, które nam służy, aby nasze obowiązki spełnić należycie. Kluczyk ten nazywa się jeszcze zwycięstwem siebie samego, zaparciem się, własną kontrolą.

Są takie kluczyki, co się przydadzą do każdego zegarka. Umartwienie też przyda się do każdej cnoty, aby ją obudzić, podnieść, udoskonalić. Zobaczymy jaśniej, rozważając:

II. Na co służy?

1. Aby żyć uczciwie i szczęśliwie. Umartwienie jest kluczem do dobrobytu materjalnego, do szczęścia rodzinnego, do rzetelnej sławy, do nabycia wiedzy i wykształcenia, do utrzymania się przy czerstwem zdrowiu, do spokoju sumienia — wogóle do powodzenia doczesnego. I tak n.p. Widzimy wśród naszych rodaków wielu zamożnych ludzi. Skądże do tego przyszli? Przez umartwienie. Żyli miernie, a pracowali dzielnie, oszczędzali, unikali zbytków, wydatków niepotrzebnych, przestawali na małem. Ich sąsiedzi w lepszych byli warunkach, pracę mieli łatwiejszą, dochody spływały strumieniami — a do dzisiaj nie zdobyli się ani na własny dom, jak tamci, ani dzieci nie pchnęli do szkół wyższych, ani z długów wybrnąć nie mogą. Jakaż tego przyczyna? Nieumartwienie pożarło owoce pracy. Im większe dochody, tem większa żądza używania, wystawności i rozrzutności. — W innej znowu rodzinie widać spokój i zgodę. Ci jednak, co znają bliżej głowę tejże rodziny, męża — dziwują się, jakto być może? Głowa czupurna, nadęta pychą, miota przekleństwa, z niczego niezadowolona — a jednak spokój w domu! Bo tam jest serce dobre, szlachetne, cierpliwe i umartwione —

żona zacna, co anielską cichością burzę uprzedzi i zażegna. Umartwieniem, zwycięstwem siebie niejedna małżonka, jak anioł pokoju, wniosła szczęście do rodzin i męża, człowieka najdzikszych narowów uszlachetniła. W tem spoczywa moc i błogosławieństwo umartwienia. Ono nietylko w rodziny szczęście wnosi, ale i serca pojedynczych ludzi uspokaja i uszczęśliwia. Cóż najczęściej lekarze radzą swym pacjentom? Spokój. Cóż to znaczy? Odwracaj myśl od tego, co cię martwi i boli. A to co znowu znaczy? Umartwiaj się, zwyciężaj siebie, nie poddawaj się smutnym wrażeniom i marzeniom, bo te źle wpływają na twój stan zdrowia. Tak więc umartwienie doczesne nasze sprawy na prawy tor sprowadza.

Ono jeszcze coś więcej czyni. Reguluje nasz stosunek do Boga, bo nam pomaga,

2. Aby się grzechu chronić i pęta jego zrywać. Skąd się grzech bierze? Stąd, że nam nie pachnie umartwienie. Podobni jesteśmy do ptaszka, co go chłopiec na nitce za nogę trzyma i nim się bawi. Ptaszek chciałby się wyrwać, ale niema na tyle mocy, by nitkę zerwać. On nie może, lecz my możemy. Nasza nitka jest moralna, łatwo da się rozerwać, zwłaszcza z początku, zanim naszej duszy po kilkakroć przez nałóg nie obwinie i nie przylgnie mocno do serca. — W każdym razie, chociażby nawet ta nić zamieniła się w powróz i związała nas mocno z grzechem, jeszcze mamy dość siły i łaski Bożej, by go potargać. Umartwienie nam dopomoże. —

Jeżeli rozerwie pęta grzechu, to znowu pracuje w nas na tem,

3. Aby łaski, pociechy, zasługi na żywot wieczny nabyć. Dość nam zaglądnąć do kalendarza kościelnego. Świętych tam tyle, że na jeden dzień kilku wypada. A czy wszyscy od pierwszych lat życia szli prostą drogą? Mnóstwo z nich dopiero po dłuższem błądzeniu dostało się na drogę prawą. Co ich na bezdrożach trzymało? Nieumartwienie. A co znowu kierunek dobry dało? Zwycięstwo siebie. „O tyle postąpisz, o ile sobie gwałtu zadasz," poucza nas owa złota książeczka, której tytuł: „O Naśladowaniu Chrystusa," ułożona przez umartwionego zakonnika Tomasza à Kempis.

Lecz jakto gwałt sobie zadać? Czy naturę naszą, jakto mówią, zmiażdżyć na kwaśne jabłko? Czy tak się znieczulić, jak przy operacji pod chloroformem? Samej naturze dajmy spokój — my jej samej nie uleczymy, bo te rany, które wzięła z grzechu pierworodnego, nie w naszej mocy zgoić. — Ja też widzę po sobie — mówi niejeden — że mi trudno naturę zmienić. Nikt z nas na to się nie zdobędzie, żeby naturę z siebie wyzuć. Lecz, co jest w naszej sile i co potrzeba czynić? Naturę wziąść na wodzę, nałożyć jej wędzidło i ostrogami do dobrego podpędzać. Tak się czyni z koniem narowistym, nieujeżdżonym. Koń pozostanie koniem, chociaż się go poskromi i ujeździ. Tak też czyni ogrodnik z drzewem. Gdy widzi, że owoców nie daje, porasta w

dziczki i robactwem jest zasypane, nie wycina i nie rzuca na ogień, ale czyści, obcina, nową ziemią obłoży i co może, czyni, aby z niego mieć korzyść. — I ty nie kuś się na to, aby z siebie swą naturę wyrzucić i zmarnować lub z korzeniami wszystkie namiętności z niej wybrać, ale ją do dobrego zawsze pobudzaj, uszlachetniaj i w Chrystusa się przyodziewaj, jak św. Paweł każe. Jeżeli twa natura nie skłonna na Mszę św. w niedzielę, daj jej bodźca w stronę kościoła — jeżeli do pacierza niema chęci ugiąć kolana, powiedz jej, że niegodna kawałka chleba, co od Boga pochodzi — jeżeli jest burzliwa, sypie przekleństwem i zniewagą bliźniego, zwróć ją ku obrazowi Boskiego Serca, co jest u was na ścianie, by się nauczyła cichości. W tę stronę przedewszystkiem zawsze ją kieruj, nakręcając kluczykiem umartwienia.

XX.

UMARTWIENIE ROZUMU.

(Starozakonny kapłan i lewita.)

AK się to rozmyślanie łączy z poprzedniem? Każda figura na obrazie Miłosiernego Samarytanina dała nam dobrą lekcję. Kapłan i lewita przejęli nas wstrętem wobec swojego samolubstwa. Gdyśmy w tę wadę zaczęli głębiej wglądać, doszliśmy do przekonania, że się jej inaczej nie można pozbyć, jak tylko przez poznanie siebie samego i przez umartwienie. Widzieliśmy poprzednio, co to jest umartwienie i jaki z niego pożytek. — Teraz wejdziemy w szczegóły, rozważając: co należy umartwiać?

I. Objaśnienie ogólne.

W człowieku wre praca, jak we fabryce. We fabryce jedni wykonują zajęcia proste, zwyczajne, inni delikatniejsze, jedni są gorliwi, drudzy leniwi, jedni zadowoleni, inni ustawicznie szemrają. Nad wszystkimi stoi jeden główny zarządca. — Człowiek ma w sobie wielu i różnych robotników. Pracują w ciele i w duszy. Jedni stoją przy bramach, jako oddźwierni, patrzą, nadsłuchują, wyczuwają i

donoszą swe spostrzeżenia do wewnętrznych „ofisów." To są zmysły wzroku, słuchu, powonienia i dotykania. Wewnątrz są dwa ofisy czyli dwie kancelarje. W jednej odbiera się te wiadomości, jakie zmysły podają. Nadaje się im piękniejsze albo brzydsze kolory, a potem raportuje się do najwyższego ofisu, gdzie urzęduje rozum ze swoją sekretarką, wolą. Czyni to fantazja, czyli imaginacja albo wyobraźnia. Dlaczego ona często nie tak rozumowi rzeczy przedstawia, jak je od zmysłów odebrała? Bo oprócz niej są w duszy i tacy robotnicy albo raczej psotnicy, co nic innego nie mają do czynienia tylko buntować, strajkować i zakwaszać. Są to dzikie popędy czyli pasje zmysłowe, które naszą fantazję drażnią, łudzą i czarno nastrajają. — Wszystkie te obrazy, czy piękne, czy nie piękne, wszystkie rozporządzenia i dekrety rozumu przechowuje się w składzie, jakby w archiwum, a nad tem czuwa magazynierka, co jej na imię pamięć.

Żeby więc rozum, jako gospodarz, owe robotniki i psotniki w duszy w ładzie i spokoju utrzymał — jakiego to potrzeba umartwienia i kontroli! Sam od siebie powinien zacząć. Zatem najważniejsze jest

II. Umartwienie rozumu.

Zaraz już na początku usłyszymy zarzut: Rozum nie jest na to, by go umartwiać, upośledzać i gasić, ale trzeba go puścić wolno. W tem tkwi postęp, cywilizacja, oświata! Tak mówią tak zwani postępowcy i wolnomyślni,

którym rozum starczy za Boga i wszelkie prawo. — Tak też bili Boskie pokłony rozumowi Francuzi w czasie wielkiej rewolucji w 18. wieku, aż w nich dopiero Napoleon I. na ulicach Paryża zdrowy rozum obudził armatami — o czem ze smutkiem opowiada historja.

Na ten zarzut podwójna jest odpowiedź: 1) Dobrze pojęte umartwienie rozumu nie upośledza, ani nie gasi, ale go, jak lampkę, podkręca i, jak świecę, oczyszcza z naleciałości, pyłu, które jej blask tamują. Nauka wiary wiele rozumowi zawdzięcza. Bez jego pomocy któżby o Bogu wiedział, któżby Jego ślady i litery w księdze świata mógł odczytać, któżby mógł nabyć innych potrzebnych wiadomości czy świeckich, czy duchownych? — Nie znaczy to jednak, żeby rozum miał być wszystkowiedzący, żeby nie miał uznawać żadnej powagi, żadnego prawa, żadnych się granic i reguł nie trzymał. Boć i słońce jest ograniczone w swoich obrotach, ma swoje zaćmienia i zamglenia i nie wszędzie swoim promieniem dotrze. — 2) Rozum ma swoje b ł ę d y, u c h y b i e n i a, c h o r o b y, które umartwienie powinno prostować i leczyć. Niektóre z nich ważniejsze:

a) Jest l e n i w y, jak to dzieciom szkolnym dość często wytykamy. Lecz czy i u starszych jest żwawszy do nauki i prawdziwej oświaty? Czemu nam tak trudno wziąść pożyteczną książeczkę do ręki i kształcić rozum? Łatwiej nadstawić ucha na cudze banialuki, brednie, drwinki z księży i wiary, nimi się

przejmować i powtarzać, niż przysiąść fałdów i gruntowną odpowiedź z dobrych pism wyjąć, by niedowiarkowi zamknąć usta. — Jest też nasz rozum

b) Lekki, chwiejny i słaby. Łatwo wydaje sąd i zdanie bez słusznej racji, sądzi z pozorów, ulega względom ludzkim. Lada plotka, bajka i podejrzenie tak nam głowę zawróci, że nie badamy, kto to napisał lub powiedział, dlaczego, ale gotowiśmy przysięgać, że tak było. — Jest też w naszym rozumie i

c) Niezdrowa ciekawość. Chcemy to wiedzieć, coby było lepiej nie wiedzieć. Pszczoła lata z kwiatka na kwiatek, miód wysysa, a truciznę omija. Instynkt ją wiedzie. Młodzież i starsi nawet, niby w imię postępu i oświaty więcej się cisną do trucizny w książkach i piśmidłach obrzydłych, niż do miodu potrzebnej wiedzy. Co złe i brzydkie, więcej pociąga, niż dobre i rzeczywiście piękne. — Z tych i podobnych chorób nie byłoby trudno nasz rozum wyprowadzić, gdyby nie był

d) Uparty, twardy i nieugięty w swojem nie mądrem zdaniu. Skąd to pochodzi? Nie stąd, że wszystko lepiej umie, jak się przechwala, ale stąd, że jest ciemny i pyszny. Pyszałek czepi się jakiegokolwiek zdania, które wyczytał w swojej nieuczciwej gazecie i tak sobie zagwoździ głowę, że się o nią rozbijają wszelkie najcenniejsze uwagi i zachęty szczerych i rozumnych przyjaciół. Widzimy to n.p. u tych, co się uważają za badaczów Pisma św.

Trudno im wybić z głowy, że Pismo św. bez powagi Kościoła nie może być jedynym i nieomylnym nauczycielem prawdziwej wiary. Gdyby upór potrafili zwyciężyć, łatwoby to pojęli.

Niechże rozum da przykład umartwienia. Za nim pójdą i inne władze duszy. — A jak się ma umartwiać? Niech się zdobędzie na ofiarę, by się cały oddał kierownictwu Boskiego Serca. Czy na tem co straci? Nic nie straci, a wiele zyska. Jakiekolwiek ma światło, ma je od Boga tak, jak gwiazda od słońca. To zaś uznanie i ofiara rozraduje ofiarodawcę i pobudzi Boskie Serce, że mu jeszcze większe światło roznieci, bo wdzięczność jest nową prośbą. Jak przedtem z tą słabą lampką szukał swego nieszczęścia po drogach nieprawości, tak teraz, przy jasnem świetle łaski Bożej, zagłębi się w „nauce Świętych" (Mądr. 10.) i pozna, jak słodkie Boskie Serce.

XXI.

UMARTWIENIE PAMIĘCI.

(Starozakonny kapłan i lewita.)

Uwaga: Przypomnę sobie, że jeszcze stoimy przed obrazem Miłosiernego Samarytanina i spoglądamy na postać samolubnego kapłana i lewity starozakonnego, którzy nie ratowali biedaka, pobitego przez zbójce. Z nich płynie wiele nauki o umartwieniu pod różnym względem.

I. Jak wygląda pamięć?

EST to jakby skrzynia albo śpichlerz, gdzie się przechowują różne wiadomości o Bogu, o ludziach, o aniołach, o niebie, o piekle — to, co się czytało, słuchało, mówiło, widziało, doświadczyło i.t.p. Znajdują się tam podobieństwa, jakby odciski, formy pięknych, budujących i pożytecznych rzeczy, ale i marnych, próżnych, niepotrzebnych, zbytków, nieprzystojności, które się narzucają rozumowi, aby je obejrzał i zużył — przedstawiają się woli, aby się w nich lubowała.

U niektórych ta skrzynia jest pusta, słaba i tępa, jakby szafa ciasna i źle się odmykająca. U innych znowu obszerna i wrażliwa, jakby potarta lepem, do którego łatwo się muchy przyczepiają.

Wielkim darem Bożym jest dobra pamięć— utrapieniem zaś pamięć krótka i słaba. Można ją wyrabiać i rozprzestrzeniać zwłaszcza w młodości, aby nabierać różnych i ładnych wiadomości na chwałę Boga, na pożytek ludzi i na chlubę nas samych. Na tem głównie polega

prawdziwa oświata i umiejętność. Lecz i zła, fałszywa oświata z tego wychodzi magazynu. „Czem skorupka za młodu nasiąknie, tem na starość trąci." Co się w młodych latach w tym spichrzu ze złych książek i gazet nagromadzi i przechowa, co się usłyszy od niedowiarków i bluźnierców, to się później odzywa i woń wstrętną wydaje czyto językiem, czy piórem. Czytajmy i słuchajmy dobre i pożyteczne rzeczy, to nam potem wyjdą na radość i na korzyść.

II. O czem zapominać?

Wiele obrazów i odcisków chowa się w pamięci wbrew naszej woli. Chcielibyśmy się ich pozbyć i wyrzucić, a one ciągle się nasuwają i nas trapią. Przypominają się nam nieraz dawne grzechy. Jużeśmy się ich wyspowiadali i za nie żałowali, a one ustawicznie stają nam na pamięci. Co z nimi począć? Niechże rozum i sumienie wybawi pamięć z tego kłopotu. Jakże mają postąpić? Niech rozum jasno odpowie i sumienie go poprze, czy chciałeś zawsze szczerze się spowiadać? Obydwa świadczą, że tak t.j. zawsze chciałem należytą odprawić spowiedź. Na ten sąd trzeba się spuścić i nie dbać o to, co pamięć mówi. Można też wzbudzić nowy akt żalu, aby starą ranę, a raczej bliznę, co została po grzechu odpuszczonym, jakby balsamem złagodzić.

Niektórzy znowu zwłaszcza wrażliwej pamięci, odczuwają głęboko przykrości, boleści, nieprzyjemne wraże-

nia. Krzywd doznanych lub urojonych nie mogą wymazać z pamięci. W jaki sposób zalecać im umartwienie pamięci? Dwa sposoby są im przydatne. Najpierw niech się ćwiczą w sztuce zapominania. Jest to sztuka tak ważna, że nawet boleść ciała mniej odczuwamy, gdy o niej staramy się zapomnieć. Nad boleścią moralną łatwiej możemy zapanować. Ale jak? Nie należy w tem, co boli, jakto po prostu mówią, grzebać i dłubać, ale zamknąć magazyn wspomnień i co innego, co nam weselsze, przywodzić na myśl. Nikt nie grzebie i nie rozognia zbolałej rany, lecz ją wyczyści i kojącym plastrem obłoży. Wiedzmy o tem, że im dłużej grzebiemy w spichrzu pamięci, tem bardziej boleść zaostrzamy i nic innego z niego nie dobędziemy, tylko jeszcze więcej zgryzoty. — Oprócz tego wielką szkodę czynimy zdrowiu. Z ciągłego rozpamiętywania naszych boleści nabawiamy się choroby serca, drażnimy nerwy, sprowadzamy bezsenność i jeżeli zagrzebiemy się długo i głęboko w tym czarnym spichrzu, możemy ściągnąć na się umysłową chorobę. — Jako drugi sposób umartwienia pamięci w podobnych wypadkach posłuży miłość względem wszystkich, a zwłaszcza względem wrogów i prześladowców. Odważmy się raz na ten akt heroiczny, a wszelka boleść zniknie. Miłość usuwa wroga i wszelką podejrzliwość.

W ten też sposób należy postępować, gdy nam pamięć nasuwa szpetne wyobrażenia albo inne szkodliwe. Sztuka zapomi-

nania okrywa je zasłoną. Chociażby przez długi czas, jak osy, nas trapiły, nie obrazimy Boga, gdy je pamięć będzie usuwać i zamazywać. Wtedy tylko grzech nas poplamić może, gdy te wstrętne obrazy dłużej w pamięci przytrzymamy i w nich będziemy się lubować.

III. Co sobie przypominać?

Jeżeli nam pamięć smutki i rozdrażnienia przywiodła, niechże nas też i rozweseli i podniesie na duchu. Ma ona w swym magazynie dosyć dla nas zachęty i pociechy.

Najpierw nie pozwalamy jej gromadzić na nas pocisków i biczów. Najwięcej ich uzbiera w złych gazetach i książkach. Ten, kto chce żyć spokojnie, widzi w nich tylko podnietę do rozdrażnienia i zwady. Niechce ich znać i widzieć, bo nie oświata, ale kwas i rozgoryczenie z nich wciska się do duszy. Dobre pisma i książki pokrzepią nas i wybiją z pamięci to, co boli. — Po drugie. Gdy pamięć zaczyna chmury strapień i melancholji gromadzić, przypomnijmy sobie dni wesela i chwile pomyślności, których nie brakło w życiu. Było jeszcze gorzej i ciemniej, przeżyliśmy niejedną groźniejszą burzę, a jednak słońce radości zaświeciło. Da Bóg, że się i obecnie wypogodzi. — Potrzecie. Wśród tych zawieji w duszy, jakie smutna pamięć wznieciła, przypatrujmy się innym, co zawsze są spokojni nawet podczas najcięższych doświadczeń. Patrzmy, jak oni sobie radzą? „Mogli ci i te, czemuby nie ja?" Tak się zachęcał św. Augustyn. Wzory te

miejmy zawsze w pamięci, nietylko Świętych Pańskich, ale nawet znanych, zwyczajnych osób. Najdoskonalszym wzorem niech nam będzie Boskie Serce Jezusa, które wśród największych męczarni i obelg o Sobie zapomniało. Chociaż Mu w Ogrojcu na modlitwie stanęła w pamięci cała zgroza Męki i nasza niewdzięczność, zgodził się jednak z wolą Ojca i dokończył Swojej ofiary.

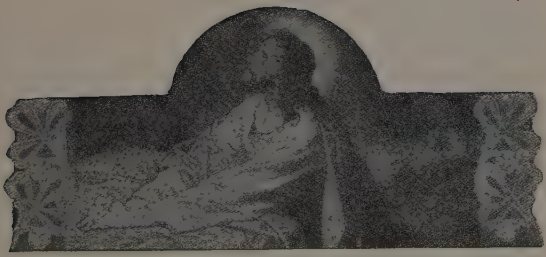

XXII.

UMARTWIENIE WOLI.

(Starozakonny kapłan i lewita.)

Uwaga. Starozakonny kapłan i lewita w przypowieści o Miłosiernym Samarytaninie uczą nas umartwienia — nie swoim naprzód wysiłkiem, ale swojem umartwieniem i złą wolą. Cnotę wyższej i wiedomowalności budzą nas ku poprawie, kiedy ich zła wola ku dobremu naszą kierowała, rozważmy, jak trzeba umartwiać wolę.

1. Zła wola czyli błędy woli.

NANA jest nauka Marcina Lutra o grzechu pierworodnym i o wpływie jego na naszą wolę. Według niego grzech pierworodny tak nam siłę woli odebrał, że jesteśmy podobni do zwierzęcia, co wcale woli nie ma. Wyjaśnił ów doktor bezbożności swoje zapatrywanie na tym przykładzie. Człowiek podobny jest do konia. Kto na niego wsiędzie i gdzie zechce, popędzi, tam koń pójdzie. Dosiędzie nas Pan Bóg, powiedzie do nieba — siędzie djabeł, zapędzi do piekła. Sam człowiek, według Lutra, niema wyboru, ani siły, aby się złemu oprzeć.

Czy tak uczy Chrystus, Kościół i doświadczenie? Gdyby tak było, na cóżby się przydała nauka o grzechu, o jego karach, o piekle (w które i Luter wierzył), o nagrodzie niebieskiej, na co zbrodniarza sądzić, zamykać do więzienia? Byliby śmy niepoczytalni za nasze spra-

wy. — Uczą nas i my sami to odczuwamy, że nasza wola jest

1) Chwiejna, osłabiona przez grzech pierworodny, więcej skłonna do złego, niż do dobrego. — Czy to jednak znaczy, że jest tak słabą, jak listek, co go lada podmuch wiatru porywa? — Ale może złe nałogi tak wolę osłabiają, że się staje bezwładną? Prawda, że jej energję powstrzymują i jak ptaszkowi skrzydełka podcinają. Był jednak czas, że biedny nałogowiec mógł sobie niepozwolić owych kajdan założyć — mógł je i potem zrzucić. Sam się za to na siebie żali w jaśniejszych chwilach, potępia się w konfesjonale i innych umie przestrzegać i strofować, by jego drogą nie szli.

Że tak źle z wolą nie jest, jak Luter uczy, druga jej wada okazuje. Jest bowiem często

2) Samowolna, swawolna i zacięta w swoim kierunku. Gyby była tak słaba, jak listek, czyby się mogła tak wyrażać, jak się nieraz odzywa: „Co mi tam Bóg, co mi tam ksiądz i papież — pójdę do kościoła i do spowiedzi, kiedy mi się podoba, mam swój rozum i wybór." Cóż stąd widać? Że to człowiek nie słabej woli, lecz w fałszywym kierunku. Gdyby był słabej woli, łatwoby mu można było wyperswadować, że źle myśli i czyni i skierować go na prawą drogę. On zaś gardzi wszelką dobrą radą i napomnieniem. Dlaczego? Bo, jak mówi, ma „swój" rozum i „swoją" wolę. — Cóż więc dowodzi samowola czyli swawola? Że człowiek ma wolę i nie słabą, ale jej źle używa. Chce być panem swojej woli,

niczem nie skrępowany. Czasem znowu jest zanadto

3) L e n i w a, gnuśna. Niczego dokładnie nie wypełni lub zupełnie się zaniedba. Leni się nawet pacierzowi parę minut poświęcić. — Inaczej wygląda

II. Dobra wola.

Czy może mamy na myśli tego miękkiego poczciwca i wygodnisia, co się da łatwo użyć tak do dobrego, jako i do złego? To nie ten, co to, jak mówią, Panu Bogu i djabłu świeczkę zapali. To nie ten, co się uważa za katolika, a brata się i wysługuje masonom, socjalistom i innym wrogom Kościoła. — Lecz, co za jeden?

On w stosunku do Boga szuka tylko spełnienia Jego woli. W stosunku do bliźnich swą przyjaźń i wyrozumiałość posuwa aż do ostatnich granic. Ze wszystkimi chce żyć najlepiej i najserdeczniej i w swych ustępstwach nawet nieraz krzywdę ponosi, byle krzywdy Bogu nie było. W stosunku do siebie tak się umartwia i układa, żeby nie dać okazji do zaczepki i gniewu innym. Wśród zwad i nieporozumień upatruje raczej winę w sobie samym, nie zwalając jej na innych, bo wie, że lepszą jest słomiana zgoda, niż złoty proces. — Jak dochodzi do tego?

III. Przez umartwienie woli.

Od czego zaczyna? Utrzymuje wolę w równowadze, czyli w gotowości, aby to zawsze spełnić, czego sobie Bóg życzy. Jest to czło-

wiek, jak mówimy, zrównoważony. Jak to wyjaśnić? Widzieliście nieraz, jak straż ogniowa przy swoich stacjach czuwa. Gwarzą, przeglądają gazety, grają w karty, puszczają dymy z fajek—zdaje się, że próżnują. Wtem odezwał się alarm. Wszystko zrywa się z miejsca i w jednej chwili w drodze. Czy się pali fabryka, czy kościół, czy pałac, czy nędzna chata, czy burza ryczy nad ich głowami, czy zawieja śnieżna bije im w oczy — oni usuwają wszelkie przeszkody i spieszą spełnić swój obowiązek. Co ten przykład poucza? Utrzymujmy naszą wolę zawsze na straży, zawsze gotową, zawsze chętną spełnić to, co Bóg i sumienie wskazuje. Jak straż ogniowa mija wszelkie zapory i trudności a do swojego celu dąży, tak i my zachowajmy gotowość woli i chęć spełnienia woli Bożej, chociażby na drodze życia jaknajwiększe stanęły przed nami przeszkody, najcięższe pokusy i doświadczenia. Nieraz trudności i przeszkody są tak wielkie, że im nie można sprostać. Cóż wtedy? Niech przynajmniej dobra, ochotna wola wystarczy za uczynek. Nasze usiłowania nie pozostaną bez nagrody.

Lecz, czy można wolę utrzymać stale, długo bez zmęczenia, bez zniechęcenia w tej świętej gotowości? Nie można bez podpory i wsparcia. Skąd ją wziąść? Łaska Boża je daje, która wolę przenika, hartuje i z nią współdziała. Łaska zaś skąd wypływa? W Boskiem Sercu ma źródło i swą wysługę. Aby więc woli nadać hartu, czyńmy tak, jak ci, co żelazo na stal zmieniają. Rozpalone zlewają i zanurzają w

wodzie. Wkładajmy naszą wolę w źródło żywej wody Boskiego Serca, a tak się umocni i zahartuje w dobrem, że silniejszą będzie od stali.

XXIII.

UMARTWIENIE WYOBRAŹNI.

(Starozakonny kapłan i lewita.)

Uwaga: Zapatrzyliśmy się w postać starozakonnego kapłana i lewity na obrazie Miłosiernego Samarytanina i badamy, dlaczego nie chcieli ratować biedaka, co wpadł pomiędzy zbójce. Uderza nas, że nie wiedzieli, co to jest umartwienie. Wyobrażali sobie, że wróg nie jest godzien ratunku. — Tak i nasze mylne wyobrażenia spychają nas z drogi obowiązku. Nasza wyobraźnia temu winna czyli fantazja albo imaginacja. By móc nią kierować, trzeba ją poznać. To też jej parę słów poświęcimy.

I. Jak sobie przedstawić wyobraźnię?

YLIŚCIE nieraz na ruchomych obrazkach, na kino (moving pictures). Wolno się im przyglądać, jeżeli te przedstawienia nie zawierają nic gorszącego. Jakie to tam przeróżne sceny, co się prędko zmieniają: ładne i nieładne! — Jak jest na przedstawieniu poza nami, tak też i w naszej głowie. Co chwila, to się nam coś nowego nasunie i to tak szybko i natrętnie, że trudno się opędzić przed brzydkimi w duszy obrazami. Czyni to nasza wyobraźnia, czyli imaginacja lub fantazja.

Wyobraźnia zawsze jest czynna, nawet i we śnie. Przedstawia obrazy nie tylko te, które od zmysłów odbieramy, ale i te, co się przechowują w pamięci i to bez ładu i składu. Łączy je, spaja na najrozmaitsze sposoby, w dziwacznej i bałamutnej formie i pokazuje rozumowi. Czyni to nieraz tak powabnie i nęcąco, że ten niby gospodarz duszy, daje się uwieść i pozostaje, jak to mówią, pod pantoflem wobec swojej kapryśnej sługi. Bo przecież wyobraźnia nie jest panią w duszy, ale tylko służącą i pomocnicą rozumu. Jeżeli rozum dobrze rządzi, a owa pomocnica jest bujną i bogatą w obrazy — co to za skarb niewyczerpany, co za obfita kopalnia drogocennych produktów umysłowych! Stąd wychodzą dobre i pożyteczne książki, stąd wymowa tryska dowcipem i przykuwa słuchacza, stąd rodzą się pomysły wynalazców, stąd bije źródło sztuki, nauki. Jeżeli znowu fantazja w brudach się kocha albo jest zakwaszona uprzedzeniem, nasiąkła nienawiścią do Boga, do Kościoła i duchowieństwa, cóż dobrego można się spodziewać po jej płodzie? Cóż po takich powieściach i wierszykach, co wprawdzie zdradzają bogatą fantazję u autora, ale całe w brudach się pławią? Rwią się wprawdzie do nich umysły czcze i puste, jak muchy do zgniłego kawałka mięsa, ale tak się serca zabrudzą, że dopiero w dobrej i gruntownej spowiedzi można je wymyć. Cóż po takich gazetach, z wielką fantazją redagowanych, które w swojej zatrutej bezbożnością wyobraźni prawdę Bożą umyśl-

nie zasłaniają lub przekręcają, nieprawdę, fałsz i zbrodnię pod niebiosy wynoszą, szerzą nienawiść religijną, klasową i społeczną? — Wyobraźnia jest wielkim darem Bożym, ale czy mało darów nieba idzie na marne albo nawet przeciw samemu Bogu jest użytych?

Żeby imaginację lepiej poznać, rozważmy dalej

II. Jak nas łudzi?

Wyobraźnia podobna jest do zwierciadła. Trzy są rodzaje zwierciadeł: wypukłe, wklęsłe czyli zagłębione i płaskie. Każde z nich ma swoje własności.

Wypukłe powiększa, rozdyma i roznosi przedmiot. To samo czyni imaginacja. Lubimy n.p. słuchać, gdy kto o nas co mówi, bierze nas chętka podsłuchiwać pod drzwiami, a nawet zaglądać do cudzych listów. Podsłyszymy nasze nazwisko, albo dostrzeżemy w nie naszem piśmie o nas wzmiankę — już się rodzą domysły, podejrzenia, niepokój. Poddajemy temu złe, złośliwe znaczenie; zdaje się nam, że ta osoba ma jeszcze coś gorszego o nas na myśli, wpadamy w zły humor, mścimy się słowem lub odwetem w uczynku, unikamy jej i ubocznie jej dokuczamy. Z komara powstaje wielbłąd, z igły widły. — Nieraz ktoś dłużej potrzyma na nas oczy i obserwuje. Nam się zdaje, że to może bandyta, rabuś, co nas chce zabić i obrabować. Nieraz dziwny sen w nocy nas trapi. Cały dzień następny siedzi nam klinem w głowie. Patrzymy do sennika i

radzimy się wróżki. — Wyobraźnia przybiera także postać zwierciadła

W k l ę s ł e g o, które zmniejsza przedmioty. Popełniamy błędy wielkie i grube i za takie uważają je inni. Nam jednak wydają się małe i drobne i dziwimy się, że nas inni, zwłaszcza rodzice i spowiednicy, za to napominają. Stąd widać, jak to trudno człowiekowi poznać się i prawdę mu powiedzieć. — Trzeci rodzaj zwierciadła, to zwyczajne i

P ł a s k i e. Ani nie powiększa, ani nie zmniejsza przedmiotu. Podaje tak, jak są, ale nie tam, gdzie są. Tak czyni wyobraźnia. Ile to razy zwalamy winę na tego, który jest zupełnie niewinny. Posądzamy go, że nas oskarżył, nasze słowa przekręcił i sławę nam odebrał. Skarżymy się, że krewni i znajomi o nas nie dbają, bo nam na listy nie odpisują, gdy tymczasem albo list zaginął albo z innej ważnej przyczyny nie mogli nam odpowiedzieć.

Skoro widzimy, że fantazja nas łudzi, rozstraja i oszukuje, trzymajmy ją na wodzy. Ale jak?

III. Przez umartwienie.

Najpierw nie dolewać oliwy do ognia, to znaczy, nie dodawać materjału wyobraźni — materjału zgniłego, cuchnącego i takiego, co jątrzy i w zły humor nas wprawia. Skąd ten materjał najwięcej się bierze? Ze złych książek, z przewrotnych gazet, z bezwstydnych teatrów — a w obecnych czasach w zastraszający sposób dostarczają go Kina, czyli

tak zwane ruchome obrazy. Spekulując na niskich namiętnościach tłumu, wystawiają, jako główną przynętę, obrazki „z życia" — lepiej powiedzieć z brudnej ulicy, z karczmy, ze szkoły wszelkiego występku. I stają się szkołą zepsucia. Statystyka kryminalna dostarcza dowodów, że wiele czynów kryminalnych, zwłaszcza popełnionych przez młodzież, zrodziło się w kinach. Co się widzi i co się jako zręczne podziwia, to się pragnie w życiu odtworzyć i powtórzyć. Kino działa jeszcze zgubniej niż teatr albo zła książka. Cała dusza skupia się i pogrąża się w płótno, na którem ukazują się i nikną błyskawicznie obrazy. I jeżeli te obrazy mają treść grzeszną, bezwstydną, dusza tonie w grzechu i bezwstydzie. Czy osoba cnotliwa, zwłaszcza młodzieniec lub panienka może polubić takie kino i szukać w nim rozrywki? Ale czegóż się tam nauczy, czem się zabawi? Pewien znawca wziął 250 film wystawionych z kolei w pewnem kino i co za treść w nich znalazł? W owych 250 filmach „z życia" było 97 morderstw, 45 samobójstw, 35 pijaków, 176 złodziei, 25 nierządzic. Czy takie towarzystwo jest odpowiedniem dla młodzieńca lub panny, kochającej cnotę i czy patrzenie na tego rodzaju rzeczy można nazwać godziwą rozrywką? — Niektórzy się tłumaczą, że tam idą dla sztuki i dla piękna. Jaka sztuka i piękno? Chyba to piękno, co z rynsztoka obrzydłą wonią zionie i przed którą trzeba nos obwarować, aby nie zemdleć!

Drugi sposób umartwienia fantazji na tem, abyśmy ją ładnemi, świętemi (przynajmniej nie grzesznemi) obrazami przyozdabiali. Nabędziemy ich bardzo tanio, i to przepięknych, w dobrych i religijnych książkach. —Możemy i my sami arcydzieła malować. Czy to podobna? — zapytacie. Apostolstwo Modlitwy większej sztuki w malarstwie uczy, aniżeli Akademja Sztuk Pięknych. W niej uczą ładnie pędzlem oddawać skały, drzewa, zwierzęta, ludzi i inne ziemskie rzeczy. Apostolstwo Modlitwy wprawia nas do myślenia o aniołach, o Bogu, o Jego dobroci i miłości. Co to za piękne myśli, co za cenne obrazy, co za ozdoba wyobraźni! — Miejmy zwłaszcza przed oczyma obraz Boskiego Serca — a ono zmaże i wyruguje wszystkie inne grzeszne wyobrażenia i do wielkich, wzniosłych czynów pobudzi.

XXIV.

UMARTWIENIE ZŁYCH SKŁONNOŚCI.

(Starozakonny kapłan i lewita.)

I. Jak wyglądają złe skłonności?

ZŁOWIEKA można porównać do muzykanta, a jego złe skłonności do klawiszy na organie. Każdy z nas powinien wygrywać swojem życiem pieśń chwały Bożej. Grać nie podobna, jeżeli się o klawiszach niema pojęcia, ani wtedy, gdy te klawisze są rozstrojone. Złe nasze skłonności czyli pasje pomogłyby nam rolę życia znakomicie odegrać i wyrobić się na duchownych artystów, gdybyśmy umieli grać na nich i nastrajać je do zgodnego koncertu chwały Bożej.—Nazywamy je także dzikiemi popędami, bo są podobne do dzikich, nieujeżdżonych koni. Kto takie konie potrafi utrzymać na wodzy i niemi kierować, prędzej, gdzie chce, zajedzie. Kto zaś puści je wolno, zgubi i siebie i tych, którym powozi.

Jeszcze lepiej nazywa je ks. Piotr Skarga

chwastami, cierniami i ostami we winnicy i ładnie to rozwija w kazaniu na niedzielę starozapustną. „Ziemia serca naszego — mówi ten głośny kaznodzieja, — jest zarażona i skażona, sama z siebie ciernie i osty t.j. grzechy i wszelkie skłonności do nich rodzi, złe pożądliwości i myśli do złego same się w nas wkorzeniły. „Zmysł i myśli ludzkiego serca do złego są skłonne od młodości" Gen. 8). W dziatkach małych to widzim. Jeszcze się trzy lata niekiedy nie wypełniły, a już się umieją gniewać, kłamać, zajrzeć i pomsty pragnąć. Jeszcze ledwie do pięciu lat dojdą, a już umieją sprzeciwiać się rodzicom i nie słuchać. Do grania, do lekkich świeckich błazeństw, jako ryba do wody — do pacierza i nabożeństwa i statku cnót pobożnych leniwi i cieleśni. A cóż gdy podrosną, jaka to robota, ciernie te w nich wykopując i ten chwast plewiąc, nim się do posłuszeństwa, prawdy, skromności, cichości przyuczą! Nie mało tu gospodarzom i mistrzom potu wynijdzie, nie mało rózg się napsuje, a jednak około wielu z nich praca ginie, do złej się natury swej wracają. — A o dorosłych i niekiedy i starych co mówić? Sami się z sobą biedzim, do świata, do próżności, do nieczystości, łakomstwa, czci świeckiej, jako wóz z góry — a do Pana Boga i rzeczy Boskich, jak na górę, na którą wiele koni przyprzęgać trzeba. Do tego, co nas psuje, chęć niezmierną mamy, a do tego, na co stworzeni jesteśmy i co nam prawy żywot i szczęście wieczne przynosi, wielceśmy oziębli. „Nie co

chcę dobrego, ale czego niechcę złego, to czynię." (Rzym. 7).

W dalszym ciągu tejże nauki wykazuje tenże złotousty kaznodzieja,

II. Jak je umartwiać?

„Zapocić się dobrze musi człowiek nędzny, sam z sobą wojnę wiodąc i złe skłonności umarzając. — A co gorzej, wiele tego chwastu złego i ostu jest, iż niepodobna korzenia wykopać, i musi tylko, co urośnie, ucinać. Jako jest w ciele skłonności do nieczystości, tej nigdy wykorzenić nikt, póki żyw, nie może. Około samej popędliwości do gniewu długo pochodzisz, nim go wykorzenisz. To samo mówi się o zazdrości i chęci do pieniędzy, do świeckich próżności i do marnej chwały. Zapoci się czoło, kto tę robotę świętą i potrzebną ukończy.

Złe wykorzeniwszy, trzeba znowu święte cnoty pobożności zaszczepić, które, nim się przyjmą, nim kwitnąć i rodzić ci pociechę i u Pana Boga wysługę poczną — dobrze robić i długo czekać i sobie się samemu naprzykrzyć musisz. Wiele się dymu około drew tak mokrych napijesz i często ogień twój, jako deszczem, pokusami gasić się będzie. — A miawszy już taką z pracy swej i łaski Boskiej cnotę, wielkiej czujności trzeba, aby się złem sercem nie psowała. Podnosić od ziemi różdżki i do tyki przywiązywać, aby jagoda ziemi się nie tykała i ziemią nie cuchła.

Trzeba dalej dbać, aby nie przechodziły

miary swojej, której gdy chybią, w chwast i kąkol się obracają ‚Nie bądź nazbyt sprawiedliwy' (Eccl. 7.) — Jest i zbytek i przygasza w surowej bardzo sprawiedliwości, w wielkich postaciach, w wielkiem morzeniu ciała, w szkodliwej hojności i pokorze, gdy po niej mało. Musi mądrość i roztropność, jako hetman nad nimi stać, a miary, czasów i okoliczności patrzeć, około czego jest roboty dosyć."

Poucza dalej ów niezrównany pracownik w winnicy Pańskiej, ks. Piotr Skarga, że trzeba i o ogrodzeniu pomyśleć, płoty postawić lub ponaprawiać, aby szkodniki z zewnątrz się nie wdzierały i nie marnowały naszej pracy, trzeba i straż postawić, aby przed złodziejami się ochronić i tak ciągle udoskonalać winnicę. Rola duszy podobnej też troski wymaga: ogrodzenia zmysłów, usuwania okazji do grzechu, straży ducha, a zwłaszcza wielkiej w Boskiem Sercu ufności, aby wszelka sprawa od Niego brała początek i do Niego zmierzała.

XXV.

UMARTWIENIE ZMYSŁÓW.

(Starozakonny kapłan i lewita.)

Uwaga: To rozmyślanie stanowi ogniwo z innemi poprzedniemi o umartwieniu, na tle przypowieści o Miłosiernym Samarytaninie, o czem już dłużej rozważamy. Naprowadziły nas na te myśli samolubne osoby starozakonnego kapłana i lewity.

I. Co to znaczy umartwiać zmysły?

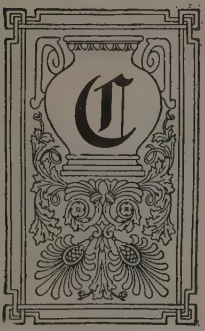

CZY to może tak się należy zachowywać, jak owi starzy, pogańscy filozofowie, co ich nazywamy Stoikami? Jak oni się zachowywali? Coś na kształt trupa. Mówili, że doskonały człowiek ma być na wszystko obojętny, na wszystko nieczuły, martwy, jakby miał oczy a nie widział, — miał uszy a nie słyszał, — miał czucie a okazywał, że go żadne wrażenie nic nie obchodzi — aby, jak obecnie mówimy, przerobił się w mumję egipską. — Czyto to znaczy? Nie. Czemu? Bo na to przecie dał nam Bóg zmysły, żebyśmy ich używali, Jego dzieła i dary podziwiali, przez nie rozumem do Niego się podnosili i uwielbiali Jego mądrość, wszechmoc i dobroć. Gdybyśmy zmysłów nie używali, i na dzieła Boże zamykali, bylibyśmy podobni do zwierząt, co z nami patrzą się na piękne, Boże stworzenia i żadnej wyższej nie odnoszą z tego korzyści.

A może to znaczy, jak widzimy na niektórych osobach, co niechcą kwiatka powąchać, popatrzyć się na piękną okolicę, unikają zabaw, rozrywek, niechcą słuchać muzyki, nawet żartów niewinnych, gorszą się ze wszystkiego, noszą się sztywnie, ponuro, jakby ojca i matkę pozabijali? I to nie znaczy mieć zmysły umartwione. Bo ci ludzie są często w języku dokuczliwi, niegrzeczni, i grubowaci w przestawaniu, uparci w zdaniu, nieprzystępni, podobni do tego faryzeusza, co to na modlitwie o sobie mówił: „Nie jestem, jak inni ludzie."

Człowiek o zmysłach umartwionych — to człowiek, jak to mówimy, z taktem i ogładą zewnętrzną. A co to znaczy? Umie miarę we wszystkiem zachować i znaleść się wszędzie, jak przystoi na człowieka, co posiada religijne zasady i dobre wychowanie, czyli ogładę. Ogłady wewnętrznej czyli wyższego naukowego wykształcenia nie każdy z nas mógł nabyć. I w tem po większej części nie nasza wina. Ogłada zaś zewnętrzna, czyli przyzwoity układ ciała, grzeczność w mowie, uczciwe zachowanie się między ludźmi, lepsze maniery zawsze są w naszej mocy. Aby ich nabyć, niepotrzeba szkół wyższych. Uczymy się ich z życia, patrząc na innych, co swojem przyzwoitem zachowaniem nas budują i na wszystkich sprawiają dobre wrażenie. Takich jest dosyć, chociaż to ludzie bez wysokiej nauki. Milej z nimi pogadać i wejść w bliższe stosunki niż z gburowatym pyszałkiem, co ma pretensje do wielkiej uczoności.

Teraz wejdźmy w szczegóły i zobaczmy niektóre

II. Sposoby, jak w praktyce można i trzeba zmysły umartwiać.

Wzrok czyli oczy: Poskramiaj ich ciekawość, zwłaszcza w kościele na nabożeństwie. Nie oglądaj się, gdy stuk lub szelest słyszysz, nieharmonijne głosy na chórze lub nęcącą muzykę. — Nie gap się na nikogo, jakbyś chciał kogo oczyma prześwidrować i rozebrać wzrokiem na nitki czyto na ulicy, gdy tam bezczynnie z rękami w kieszeni stoisz i zawadzasz przechodniom, czyto na kościelnym dziedzińcu, gdzie to po nabożeństwie lub przed niem zbierają się junaki i pod osłoną dymu z papierosów i fajek natarczywie strzelają oczyma — zwłaszcza na panny. Nie spoglądaj na nieskromne obrazy, kina, ryciny, nie rzucaj namiętnego spojrzenia na osoby innej płci, na ich twarze, ruchy i stroje. — Nie zaglądaj ciągle do zwierciadełka, które nosisz w torebce, ani nie stawaj na ulicy przy oknach i wystawach sklepowych, aby się muskać, poprawiać włosy i gładzić sobie cerę.

Słuch: Obraża ten zmysł i duszę słuchanie brzydkich powiastek, nieprzyzwoitych rozmów albo obrażających sławę ludzką. Szkoda ucha na bajki i ciekawe nowinki — strzeż się tych, co za wiele gadają, bo i twoje wady do cudzego ucha zaniosą. — Nie podsłuchuj pod drzwiami, co mówią i jak się kłócą sąsiedzi.

Powonienie: Wiedz, że pachnidło, perfumy i malowidła nie dodadzą ci czaru, ale jeszcze mogą zepsuć twoją cerę, bo skórę psują i zatruwają. A chociażby od ciebie woń biła, jak z kadzielnicy, gdy woni cnót zabraknie, wystawisz się na drwinki i będziesz uchodziła za kokietkę. — Gdy masz oddech cuchnący, nie zbliżaj się ustami do twarzy tego, z którym mówisz, a gdy się spowiadasz, nie chuchaj w twarz kapłanowi przez kratki, ale ucho mu nadstaw i mów na bok. — Kiedy kichasz, niech się to dzieje bez hałasu, wyjmij chusteczkę i przytłum eksplozję. — Gdy ziewasz, przyłóż dłoń do ust i nie wydawaj dzikich westchnień, jakbyś po lesie hukał.

Smak: Nie rzucaj się do talerza łapczywie — nie podpieraj się łokciami na stole przy jedzeniu — nie wybieraj lepszych kawałków na półmisku — nie napychaj ust jadłem aż się wydmą policzki — nie mów wtedy, gdy masz w ustach potrawę — nie gań jadła, ani zbyt nie chwal. — Gdy ci się odbija i masz dzkawkę, nie popisuj się tem przy innych, ale idź na bok i po cichu na osobności połóż temu wzruszeniu koniec. — Miej zawsze w sobie tyle siły, aby na wszystkie nalegania i zachęty już więcej nie jeść ani nie pić, jeżeli nie potrzeba.

Dotykanie: Ten zmysł przypomina nam lilję i kwiat róży. Jeżeli je często muskamy i palcami gładzimy, prędko utracą świeżość, zbrudzą się, zwiędnieją i zaczną cuchnąć. Łatwo to zastosować do naszych lilij i róż w niewieścim stanie. Ich zanadto poufałe prze-

stawanie z lekkomyślną młodzieżą męską, te same wywołuje objawy. Niechże się więc nie narażają na to, co je może oszpecić.

Poufale nieklep nikogo po ramieniu, zwłaszcza poważniejszej osoby, a tem mniej księdza. Kapłanowi ani innej starszej osobie nie podawaj pierwszy ręki na powitanie, ale czekaj, aż on swoją wyciągnie.

Wogóle grzeczność i przyzwoitość winna nas zawsze i wszędzie zdobić. I tak ustąp pierwszego i honorowego miejsca starszym. Gdy widzisz w tramwaju starszą, wiekiem przygnieconą osobę, albo matkę trzymającą dziecię na ręku, ustąp jej swego miejsca, kiedy wszystkie inne zajęte. Odsłoń głowę, gdy wchodzisz do pokoju, tembardziej gdy odwiedzasz inne, poważniejsze osoby, zdejm zaraz na wstępie czapkę albo kapelusz z głowy, nie trzymaj rąk w kieszeni, nie gwizdaj wobec innych. Bardzo razi i zdradza brak ogłady, jeżeli zwłaszcza panna (i to się zdarza) lubi uprawiać tę muzykę pod nosem. — Nie czyść i nie obcinaj paznokci wobec innych. — Nie siadaj w cudzym domu, aż cię poproszą, chyba żebyś się tam czuł, jak u siebie. — Do porządnych ludzi nie wchodź z cygarem ani z fajką, a tem bardziej do plebanji.

III. Pobudki do umartwienia zmysłów:

P i e r w s z a : Jeżeli ich nie umartwisz i nie utrzymasz w ładzie, to cię one same zmarnują, jak to widzimy na nałogowych pijakach, obżercach, rozpustnikach i rozpustnicach.

Druga: Gdy się zaniedbasz w straży nad zmysłami, będziesz uchodził za prostaka, gbura i wzbudzisz wzgardę w oczach porządnych ludzi. Przeciwnie zaś, gdy będziesz w ruchach ciała ułożony i panem siebie, pozyskasz cześć i wziętość, chociażbyś był człowiekiem bez wyższego wykształcenia.

Trzecia przyczyną najważniejsza jest apostolska. Przez te drobne zwycięstwa nad samym sobą, gdy je w dobrej, apostolskiej intencji złożysz w skarbcu Boskiego Serca, uzyskasz wiele zasług dla siebie i dla innych. Św. Paweł poucza: „Czy jecie, czy pijecie, wszystko czyńcie na chwałę Bożą." Członek Apostolstwa Modlitwy ze wszystkiego pragnie korzystać, by B. Sercu sprawić przyjemność i innych swym przykładem do miłości Boga pobudzić. Na tem właśnie polega Apostolstwo Modlitwy Boskiego Serca.

XXVI.

UMARTWIENIE JĘZYKA.

(Starozakonny kapłan i lewita.)

Uwaga: Naprowadziła nas na to rozmyślanie przypowieść o Miłosiernym Samarytaninie, a w szczególności osoby starozakonnego kapłana i lewity, które w swojem samolubstwie nie miały pojęcia o umartwieniu.

I. Wolność słowa.

ARDZO często się to hasło słyszy i czyta. Co to znaczy wolność słowa? Czy na język niema żadnego prawa, hamulca, wędzidła? Czy mu wolno, kogo chce, kłuć i bezcześcić, przeklinać i tym podobnych dopuszczać się bezeceństw? — Nie to oznacza wolność słowa. Ale co? Że wolno wypowiadać swoje zdanie czyto w polityce, czy w rzeczach nauki i wszelkiej wiedzy, unikając swarów i kłótni, upokorzenia przeciwników, co inne mają zdanie. Nawet w rzeczach religji ma język wiele wolności i swobody. Są prawdy i dogmaty najwyższem orzeczeniem nieomylnej władzy kościelnej określone, zatwierdzone i ogłoszone. Musimy w nie wierzyć pod utratą zbawienia, bo to są prawdy, które nam Bóg objawił. Lecz i o nich możemy rozprawiać i dysputować nie na to, by je w wątpliwość podawać, ale na to, aby je rozświecać, pogłębiać i we wierze się wzmacniać. Są i takie kwestje na polu religijnem, w które możemy wierzyć albo nie wierzyć. Skoro Kościół wyda o nich swe zdanie i do wierzenia

poda, trzeba ten nieomylny wyrok przyjąć i z uległością swój sąd poddać. W każdem państwie najwyższy sąd ostatecznie rozstrzyga sporne, wątpliwe sprawy i od jego wyroku niema apelu, chociażby nawet mylnie swe zdanie orzekł. W Kościele w rzeczach wiary i obyczajów taki sąd mamy w Rzymie, sąd nieomylny, bo sam Bóg, jak obiecał, czuwa nad nim, by błędu nie popełnił.

Co znaczy jeszcze wolność słowa? Wolno swej krzywdy bronić, swego prawa dochodzić, nawet sądownie, jeżeli inne środki obrony nie wystarczą. Wolno wogóle to mówić, co jest dozwolone prawem Boskiem i ludzkiem, tak się w mowie zachować, żeby sława ludzka nie ucierpiała, a ci, co nas słuchają, mogli, według przysłowia, poznać po mowie, co w naszej głowie t.j. żeśmy ludzie roztropni, ożywieni miłością ku bliźniemu, cnotliwi, z taktem i ogładą w języku.

By za takich rzeczywiście uchodzić, przyjmijmy niektóre

II. Rady i wskazówki.

Nie strzelaj, jakto mówią, dopóki nie nabijesz, to znaczy, pomyśl, co masz powiedzieć, do kogo, kiedy i jaki może być z tego wynik.— Nie unoś się zaraz gniewem, gdy cię kto dotknie zgryźliwem słowem lub żartem, ale zachowaj się, jakbyś nie słyszał, jakby to ciebie nie tyczyło. — Gdyby tych przytyczek i docinków było za wiele, opuść to miejsce, gdzie się na wojnę zanosi, jeżeli możesz, i nie wda-

waj się z tymi, co lubią się popisywać złośliwemi żartami i drwinkami. — Unikaj i tych, których język jest skłonny do obmów, oszczerstw, bajek i krytyk, zwłaszcza strzeż się przed tymi, co o księżach lubią źle mówić i o religji szyderczo się wyrażać. Tacy dają poznać, że są albo uprzedzeni do stanu duchownego albo, że to złośliwi, co z nikim żyć w zgodzie nie potrafią albo, że to wogóle ludzie nieokrzesani, grubjany, bez taktu i roztropności. — Nie wierz zaraz, jeżeli co usłyszysz lub wyczytasz na księży, ale poczekaj, aż czas wyjaśni, jakto było, i roztropni wypowiedzą swe zdanie. — Jeżeli komu masz prawdę powiedzieć, napomnieć go, nie czyń tego przy innych, publicznie, chyba gdyby trzeba było publicznego kłamcę, bluźniercę, oszczercę zmusić do milczenia i zgromić za zgorszenie. Żona nie powinna napominać męża wobec dzieci, ani mąż żony, ani nie wynosić swoich wzajemnych żalów poza dom do sąsiadów. — Nie przerywaj nikomu mowy, a gdybyś miał co wtrącić, grzecznem słowem lub znakiem poproś, byś mógł swoje nadmienić. — Słuchaj wiele, ale mów mało. Chociażby kto nie do rzeczy co prawił, uśmiechnij się naiwnie, a tak nie mów: „Co ty wiesz? Wyrwałeś się, jak Filip z konopi, pleciesz, jak Piekarski na mękach" i tym podobnych oszczędź mu upokorzeń. — Nie mów zbyt głośno, jeżeli nie potrzeba, nie hałasuj, wstrzymaj się od śpiewu i muzyki w domu, gdy was jest więcej, skoro zauważysz, że to innym nie miło.

Łatwo ci będzie utrzymać język na wodzy, jeżeli jeszcze rozważysz

III. Pobudki, dlaczego trzeba go umartwiać.

Nie będę ci przypominał i odnawiał rany, jaką i innym i sobie samemu zadałeś nieroztropnym językiem. Czy cię nie bolało, gdy wyszło na jaw, żeś to ty puścił bajkę, żeś niewinnemu sławę zepsuł, żeś poróżnił zgodliwych, żeś rzucił potwarz, wygadał się niepotrzebnie z sekretu, że cię unikają, jak osę lub szerszenia, i porządne osoby umyślnie uchylają się od twego towarzystwa, bo czy im miło słuchać brzęku bluźnierstw, przekleństw i szyderstw? Sam widzisz, że ci za długi, szorstki, bluźnierczy język wiele sprawił kłopotu. Już samo rozważanie o tem, co język złego zrobił, powinno nas zachęcić, by go wędzidłem ściągnąć i na lepszą nutę nastroić.

Apostolstwo Modlitwy jeszcze wyższej, bo apostolskiej oczekuje od niego pracy. Podsłuchują nas katolików innowiercy, o czem mówimy. Zagadują nas, co sądzimy o religji, o księżach i o papieżu? Dobre, budujące rozmowy i pogadanki wielu z nich do prawdziwej wiary przywiodły — trafne i mądre słowa wielu z zagorzałych socjalistów i niedowiarków przemieniły w prawych synów Kościoła—wielu pokrzepiły na duchu w smutku, pogodziły zwaśnionych, rozwiały uprzedzenia do księży, pociągnęły do spowiedzi i nowe, Boże życie w duszach wznieciły.

To do księży należy — powie niejeden. Do

księży i do nie-księży. To należy szczególnie do tych, co szczerze i gruntownie kochają Boskie Serce Jezusa i chcą Mu się przysłużyć, aby Mu jak najwięcej zgubionych owieczek pozyskać. Widzisz, jak kto szuka zgubionej rzeczy. Mimowoli się zatrzymujesz, oglądasz się i pytasz: gdzieś zgubił, kiedy i jakto wyglądało? Samo współczucie pociąga cię i zachęca, aby mu pomoc. — Dobry nasz Jezus szuka grzeszników. Zostawisz Go Samego w Jego trudach? Nic cię to nie obchodzi? Pomagaj Mu, jak możesz, zwłaszcza językiem, boś go dostał na chwałę Bożą, a nie na Jego obrazę.

XXVII.

ZBÓJCE.

Uwaga: Przypowieść o Miłosiernym Samarytaninie jest cała historją Boskiego Serca. Powinniśmy ją w najdrobniejszych szczegółach przejrzeć i wszystkie jej rysy wykorzystać. W niej nic nie powinno ujść oka naszego. — W tymże obrazie obserwowaliśmy już podróżnego, pobitego przez zbójcę, Samarytanina, co mu przyszedł z pomocą, — kapłana i lewitę, co biedaka w nieszczęściu zostawili.

Śledźmy, czy jeszcze niema jakiego na tym obrazie szczegółu, coby nam posłużył do rozważania. Kto zadał rany podróżnemu, kto go zostawił na drodze pół-żywego? Zbójce.—Niech i oni nie ujdą naszego oka, bo i z nich można wiele nauki wyciągnąć, porównując ich z największym bandytą, złodziejem i arcyzbójem na drodze życia t.j. z grzechem.

I. Kto jest największym mordercą i złodziejem?

Adamem na czele wyszliśmy wszyscy od początku świata z Jeruzalem. Jeruzalem znaczy miasto Boże, miejsce spokoju. Nasza droga rozpoczęła się od Boga, a zmierza do Jerycha t.j. do miejsca ukrytego w dolinie, zasłoniętego, zamglonego, nie łatwo dostępnego. Tak to słowo wyjaśniają pisarze biblijni. — Droga z Jeruzalem do Jerycha była niebezpieczna, bo obok niej kryli się w górach

i przepaściach zbóje, co na podróżnych napadali. Nasza droga życia pełną jest przeszkód i niebezpieczeństw — na nas czatują zbóje, mordercy i złodzieje. Ojcem, mistrzem ich wszystkich jest grzech, gorszy i straszniejszy od wszystkich innych morderców i złodziei. Ma te same własności, co zbóje i złodzieje, a nawet w niektórych ich przewyższa. — Jest bowiem

1) ze wszystkich zbójów i złodziei najstarszy. Ile ma lat? Tak stary, jak świat, a niepoprawny. Już około 5,000 lat kradnie i zabija, czyli od początku świata swoje rzemiosło uprawia. Czemu tak stary? Bo ma ojca, który się nie starzeje: „Kto czyni grzech, z djabła jest, gdyż od początku djabeł grzeszy" (1. Jan 3. 8.). — Jest też

2) Niesłychanie bezczelny. Wdarł się do raju i z niego pierwszych rodziców wyciągnął. Wszystko im zabrał, rozum przyćmił, wolę poranił, zdarł szatę łaski Bożej. Tak ich zrabował, że odarty Adam sam siebie się wstydził i oblicza Bożego. Czemu? „Bo obnażony," usprawiedliwia się przed Bogiem. Ciekawa odpowiedź! Przecież i przedtem nie miał odzienia? Jakaż przyczyna wstydu była? Wpadł w ręce złodzieja, który go złupił, zdarł szatę łaski z duszy i oszpecił Adama.

Taki bezczelny ten morderca i złodziej, że wdarł się do nieba i chciał samemu Bogu koronę chwały zerwać, a lucyferowi założyć.— Gdy Syn Boży nam z pomocą pospieszył, ten

zbój i na Niego się rzucił, poranił, do krzyża przybił i Boskie Jego Serce cierniem opasał. — Ponadto jest ten zbój

3) N i e l i t o ś c i w y. Żadnej duszy nie oszczędza, wszystkie napada i chce zgubić, wszystko bierze, a zostawia nędzę, łzy, hańbę, zgryzoty. — Wreszcie ten zbój jest ze wszystkich

4) N a j n i e b e z p i e c z n i e j s z y. Inni zbóje, mordercy i złodzieje zabierają dobra doczesne, ziemskie i nie wielkiej wartości. Grzech zaś porywa i unosi dobra wewnętrzne, niebieskie i najdroższe. — Przed innymi zbójami i złodziejami strzegą się ludzie, ryglują domy, posługują się bronią, trzymają psy i stróże, krzyczą i wołają o pomoc. Wobec ataku grzechu jak się zwyczajnie zachowują? Czy nie bywa z upodobaniem, dobrowolnie wpuszczany? Czy go nawet nie opłacają w rozpustnych domach i bezbożnych teatrach? Czy się z nim nie bawią i nie igrają na grzesznych schadzkach i wycieczkach? Czy za nim nie tęsknią rozpustnicy i czytelnicy niemoralnych książek i gazet? Nie jest że to złodziej nad złodziejami, co mimo swego wstrętu i ohydy potrafi niezliczone mnóstwo dusz zawojować i zgubić?

II. Jak napada?

Tak, jak złodziej. Złodziej

1) Ś l e d z i osobę, dom, kościół i inne miejsca, które zamierza okraść. Przypatruje się, jak się brama otwiera, jakie zamki, czy i jakie

psy strzegą i t. p. W domu duszy mamy pięć okien i dwoje drzwi t.j. pięć zmysłów i dwie bramy. Z nich jedna zewnętrzna t.j. usta, druga wewnętrzna czyli serce. Dopóki pokusa w oku, w uchu, złodziej dopiero się podkrada, obserwuje, probuje zamków. Mogą go jeszcze psy odstraszyć, stróż spłoszyć, mocne zamki zatrzymać. Lecz jeśli zamki liche, psy potrute albo nieczujne, a stróż śpi albo zabity, złodziej pewniejszy siebie. Tak i w nas. Łatwo pokusa wciśnie się aż do wewnętrznej bramy t.j. do serca, jeżeli jej uśpione sumienie nie odstraszy i zamki zmysłów słabe albo zepsute. Wyłamały je lub osłabiły poprzednie grzechy, a nie naprawiliśmy ich szczerą pokutą. Cóż czyni dalej złodziej, jeśli zamków nie potrafi wyłamać, ani rygli odsunąć?

2) Wpuszcza małego chłopca przez okienko lub kratę, aby mu z wewnątrz otworzył. Grzech, zwłaszcza ciężki, sam z siebie jest obrzydliwy i straszny. Na pierwsze wejrzenie człowiekby się go uląkł i znać go nie chciał. Ludzie się jednak powoli z nim oswajają przez małe grzeszki, drobne usterki, które otwierają bramę do śmiertelnych upadków. Mogłaby nam to opisać niejedna moralnie zmarnowana osoba, jaką to drogą dała się zepchnąć w przepaść nędzy i upodlenia. Gdyby jej był uwodziciel zaraz swoje niecne zamiary przedstawił, byłaby z krzykiem i pogardą odwróciła się od niego. Lecz on wpuszczał małe złodzieje, podawał podarunki, chwalił jej urodę, zapraszał na przejażdżki, traktował ją

słodyczami i powoli, jak muszkę pająk, pociągnął w swoje sidła. — Złodziej też często

3) Zmawia się z domownikami: z lokajem, z kucharzem, z pastuchem i innymi. I grzech to czyni. Ile to razy nasz kucharz, co się żołądkiem zowie, zdradził nas, bo był wspólnikiem grzechu. Paliła go chęć picia, to nam naprowadził rabusia, co nas przez grzech pijaństwa odarł ze czci, zdrowia i mienia. Dla wygody i przyjemności żołądka zapożycza się niejeden, bierze na kredyt, żyje nad stan, a gdy trzeba długi wypłacić, kłamie, że nic nie winien i odważa się nawet na fałszywą przysięgę. Żądza cielesna, którą można do pastucha przyrównać, bo pasie namiętności i im dogadza, jaka ona skora do bratania się z grzechem? Daj jej trochę swobody, a cały legjon duchów nieczystych do duszy wpuści. — Złodziej ponadto uważa, czy

4) Światło pogaszone. Ojciec grzechu, szatan, przed upadkiem człowieka gasi światło wiary albo fałszywemi wymówkami zaciemnia. Nikt nie grzeszy, gdy mu jasna i silna wiara świeci. Gdy się na grzech odważa, widać, że duszę osłania mgła, którą namiętności naniosły.

Zestawiliśmy zbójów na drodze z Jeruzalem do Jerycha z naszym mordercą i złodziejem na drodze życia t.j. z grzechem. Tam nieszczęśliwa ofiara znalazła miłosierną opiekę. Niestety na drodze życia mało znajdujemy Miłosiernych Samarytanów, którzyby się zajęli zabitymi lub ciężko poranionymi na duszy.

Boimy się dotknąć ich rany, aby sykiem przekleństwa i zniewagą nie odpłacili się nam za miłosierny uczynek. A jednak w rękach zbója, czyli w stanie grzechu nie można ich zostawić. Nie zostawiło nas Boskie Serce w naszym upadku, ale w niewysłowionej Swojej dobroci podało nam rękę łaski i miłosierdzia. Kto ku temu Boskiemu Sercu ma szczere i gruntowne nabożeństwo, znajdzie zachętę i sposób, jak się do grzeszników zbliżyć, aby cierpliwem i łagodnem słowem zwrócić im uwagę na grożące duszy niebezpieczeństwo. A gdy wszystkie środki zawiodą, zostaje nam jeszcze apostolska modlitwa, akty zwycięstwa siebie samego i inne dobre uczynki, którymi możemy skutecznie pomagać biednemu grzesznikowi.

XXVIII.

NIEBEZPIECZNA DROGA.

I. Dlaczego podróżny na drodze z Jerozolimy do Jerycha został pobity?

SZĘDZIE człowieka może spotkać nieszczęście. Nawet na równej drodze może się pośliznąć i złamać nogę Na drodze zaś śliskiej, chropowatej, wązkiej i ciemnej jeszcze łatwiej o przypadek i rany. — Na każdej drodze może nas zły człowiek napaść, okraść lub zabić. Jeszcze łatwiej można się z nim spotkać na drodze znanej z rozboju i rabunku. Nie wielkiej to roztropności podróżny, co się na taką drogę puszcza bez środków obrony i towarzystwa osób innych. — Tak uczynił nasz podróżny z przypowieści o Miłosiernym Samarytaninie. Droga między Jerozolimą a Jerychem głośna była z napadów zbójeckich. Zbóje kryli się około niej w gęstych zaroślach i przepaściach i napadali na przechodniów. Od winy nie można go wymówić, że szedł tamtędy, a jeżeli musiał, że się należycie nie zabezpieczył. Byłby i zbóji i ran uszedł. — Nie gańmy go jednak za bardzo, bo i my to czynimy i nie

raz, jak on, ale zbyt często w życiu na tę samą niebezpieczną drogę wracamy. — Co to za droga? Droga okazji do grzechu. W tem leży odpowiedź na drugie pytanie — mianowicie

II. Dlaczego my na drodze życia narażamy się na pobicie?

Dlatego się narażamy, bo się wobec okazji do grzechu zachowujemy lekkomyślnie. Znaczy to, że albo na niebezpieczeństwo nie chcemy zważać albo chcemy uchodzić za wielkich zuchów i śmiałków, albo już tak nas okazje złe oplątały, że nam brak sił, by się od nich uwolnić.

„Nie widzę niebezpieczeństwa czyli nic złego w tem nie widzę" — tłómaczy się niejeden. Widać, że masz za słabe oczy, okryte łuską samolubstwa i pychy. Inni jednak widzą, żeś się na gorsze zmienił od czasu, gdy złą gazetę trzymasz lub do towarzystwa bezbożników dałeś się wciągnąć. Czy nie widzisz, że nawet bydlę ma się na ostrożności, gdy mu grozi niebezpieczeństwo? Koń nie wejdzie na most dziurawy albo słaby, bo przeczuwa, co go tam czeka.

„Niedam się!" słychać u innych. Pchasz się w ogień, a nie dasz się poparzyć? Pijesz truciznę a jej skutków nie doznasz? Żmiję do zanadrza chowasz, a ona cię nie ukąsi? Czyś ty może jeden z tych trzech pacholąt, co z pieca babilońskiego cało wyszli? Może się cudu od Boga spodziewasz? Trzech młodzieńców bałwochwalcy w płomień wrzucili, a oni się mod-

litwą ratowali. Ty sam dobrowolnie rzucasz się w płomienie zmysłowości, rozpalasz w sobie ogień namiętności, dolewasz oliwy do ognia. Cóż się bowiem innego czyni na potajemnych schadzkach, przy czytaniu lekkich i niemoralnych książek, w nieskromnem kino?

„Nie mogę inaczej postępować." — Nie mogę opuścić tej osoby, która mię kocha, wspiera, utrzymuje i lepiej się ze mną obchodzi, niż mąż nieboszczyk. — To dlaczego nie połączycie się kościelnym ślubem? — Bo on ma żonę w kraju. — Rozbudzi się w tobie ufność, siła i obrzydzenie grzechu, gdy zobaczysz,

III. Jaką drogę wybrało Boskie Serce?

Różne są drogi życia: wygodne, mniej wygodne i niebezpieczne. Boskie Serce mogło wybrać najwygodniejszą, by nam przynieść zbawienie. Ono jednak wybrało nadzwyczaj niewygodną, bo drogę krzyża i wzgardy. „Który mając przed sobą wesele, podjął krzyż." (Żyd. 12. 2). — Dlaczego to uczynił? „Zostawując wam przykład, abyście naśladowali tropów jego." (I. Piotr. II. 21).

Jakże więc będzie? Ty zostaniesz na swojej drodze — drodze ponęt, zbrudzonej zmysłowością i cielesnych rozkoszy? Jezus, co za ciebie pokutę czyni, ma z krzyżem stąpać po cierniach? Chcesz się z Nim cieszyć koroną chwały w niebie, a o koronie cierniowej nie chcesz słyszeć, która rani Serce Twego odkupiciela? — Czy wiesz, dlaczego ci ciasna i niewygodna droga, jaką Boskie Serce obrało?

Dlatego, że twoje serce ciasne. Rozszerz je miłością Jego, a wszelkie niewygody, ofiary i trudności staną się miłe i okazji do grzechu łatwo unikniesz. „Po drodze przykazań twoich biedz będę: gdy mi rozszerzysz serce moje." (Ps. 118. 32).

XXIX.

WINO I OLIWA, CZYLI, JAK LECZYĆ RANY DUSZY?

Uwaga: Przypomnij sobie, że jeszcze stoisz przed obrazem Miłosiernego Samarytanina. Przyglądnij się dokładniej, jak on nalewa do ran chorego wina i oliwy, aby go wyleczyć. „Zawiązał rany jego, nalawszy oliwy i wina." Łuk. X. 34. Proś Boskie Serce, abyś chciał i umiał naśladować Miłosiernego Samarytanina odnośnie do leczenia ran duszy.

I. Ogólna zasada leczenia duszy.

PRZYPOWIEŚCI o Miłosiernym Samarytaninie czytamy, że ów zacny opiekun pobitego przez zbójce nalał do ran chorego wina i oliwy. Czy w tem niema dla nas jakiej nauki?— Św. Grzegorz (Lib. XX. Moral., c. 7.) takie wysnuwa myśli: Wino, nalane do ran, zmywa je z jadu, oczyszcza, zamyka, daje siłę i wzmocnienie choremu. Oliwa znowu znosi i łagodzi to, w czemby wino ranę drażniło. Uśmierza ona i łagodzi cierpkość wina, miękczy, wydelikaca ranę, swą tłustością chroni przed zaziębieniem — i tak razem się równoważą, razem do zdrowia prowadzą.

A jakże z raną duszy? Co jej najbardziej pomaga? pyta tenże Doktor Kościoła? Także wino razem z oliwą. Czem jest wino, a czem oliwa? Sam odpowiada. Winem jest nasza mocna i stała wola, roztropna stanowczość i odwaga, aby chorego na duszy leczyć. Czem zaś oliwa? Nasza łagodność, czułe serce, wyrozumiałość, które łagodzą zbytnią gorliwość i gorączkowość, aby chorego na duszy jak najprędzej wyleczyć i w jednej chwili przerobić na świętego. Oliwa, czyli łagodność i uprzejmość, działa powoli i roztropnie. Żadnej wprawdzie nie zaniedba sposobności, aby choremu pomóc, ale w swej roztropności zważa na to, aby nie przeholować i nie zepsuć wszystkiego.

Myśl i praktyka św. Doktora jest ta sama, jaką podają nowsi nauczyciele i dusz lekarze. Mówią tak: Jeżeli kogo chcesz z ran duszy wyleczyć, trzymaj się tej zasady: Bądź stanowczy i nieugięty w rzeczy czyli w usiłowaniu, ale łagodny w sposobie, czyli w przeprowadzeniu rzeczy*). Innemi słowy: zmierzaj stanowczo do celu, nie zrażaj się, napominaj, przestrzegaj, używaj wszelkich możliwych środków, ale stosuj je łagodnie, miło, bez drażnienia, bez przykrości. Czyń tak, jak lekarz. Przepisuje gorzką pigułkę, ale ją ocukrzy i osłodzi. Musi wykonać nie miłą operację, ale znieczuli chorego chloroformem lub innym środkiem, aby zmniejszyć boleści. To jest znaczenie wina i oliwy odnośnie do leczenia ran duszy. By

*) „Fortiter in re, suaviter in modo."

to ogólne pouczenie jeszcze lepiej zrozumieć, podamy na przykładzie praktyczny sposób,

II. Jak tę zasadę zastosować?

W waszej n.p. rodzinie jest głowa poraniona. Mianowicie mąż i ojciec rodziny nabawił się ran niedowiarstwa. Skaleczyli mu duszę źli towarzysze bluźnierczemi mowami i zatrutą gazetą. Ścieka mu ustami jad przekleństw, szyderstw na Kościół i na księży. Nieznośny fetor rozchodzi się po domu i zaraża niewinne dzieci. — Jakże go leczyć? Ty, małżonko, miłosierna Samarytanko, zabierasz się do tego, lecz w niemiłosierny sposób. Krzyczysz, wyzywasz ostatniemi słowy chorego, grozisz piekłem, żalisz się na niego przed dziećmi i u sąsiadów. Czy to dobre lekarstwo? Za wiele wlewasz wina w rany, które jeszcze bardziej odurza i rozum mu odbiera, bo i on klnie na ciebie i kpi z twoich wybuchów gorliwości. — Niezapominaj o oliwie t.j. nastrój się czule, łagodnie i cierpliwie, jakbyś fizycznie chorego miała przed sobą, co się w konwulsjach rzuca. — Trudno wytrzymać — powiesz na swe uniewinnienie. Więc nie stój mu na oczach, lecz się usuń od niego — idź do innego pokoju i przeczekaj, aż burza minie. Weź też dzieci ze sobą, aby się bluźnierstwami ojca nie gorszyły — klęknij z niemi przed obrazem Boskiego Serca i pomódlcie się razem, aby u męża atak szaleństwa przeszedł.

Lecz to jeszcze za krótka, za pobieżna kuracja. Jeszcze jest wiele ropy w ranie. Miej pod

ręką spory zapas oliwy. Wiesz, że oliwa nie tylko leczy, ale świeci i karmi. Już w tem zaświeciłaś mężowi, boś okazała, żeś cierpliwsza i lepsza od niego. Przy tem świetle mógł poznać, że on, chociaż mężczyzna, co się swoją mądrością nieraz przechwalał, dał się pobić zwierzęcej namiętności rozbestwienia. Ty zaś, słaba niewiasta, okazałaś się panią siebie. — Lecz świeć mu dalej. Gdy chmury gniewu zejdą mu z duszy i zupełnie się wypogodzi, zaświeć mu miłem, serdecznem słowem, aby mu błysnął promień twej życzliwej miłości i przebaczenia. Światło wywoła ciepło, nawet i ogień, co do reszty wyciągnie i wypali jad z rany. Gdy do zdrowia zacznie przychodzić, uczuje głód i zapragnie pokarmu. Wino roztropności z oliwą cierpliwości mają go w sobie podostatkiem. Cierpliwa roztropność znajdzie ludzi uczciwych i statecznych, co ci męża wezmą pomiędzy siebie albo pod różnym pozorem dadzą się do waszego domu zaprosić. Z dobrymi przyzwyczai się dobrze myśleć, mówić i czynić. Podsuną mu roztropni przyjaciele uczciwą gazetę i pouczające książeczki, z których nabędzie pożywnej strawy. I tak w ich towarzystwie zostanie zupełnie wyleczony.

Rana Boskiego Serca, to prawdziwa krynica i magazyn zbawiennego wina i oliwy na leczenie ran duszy. Ci, co się na tem znają i co wielu już wyleczyli, — oceniają doniosłość tychże cudownych lekarstw. Szczerze też pragną, aby na to apostolskie leczenie wszystkich oczy były zwrócone.

XXX.

ZBLIŻANIE SIĘ I RAN OBWIĄZYWANIE.

Uwaga: Odświeżmy sobie w pamięci przypowieść o Miłosiernym Samarytaninie. Z każdego zdania i słowa zbierajmy naukę, jak pszczoła miód z kwiatów. Nazbieraliśmy go w poprzednich medytacjach sporą miarkę. Jeszcze z tego końcowego zdania kilka kropli wyssiemy: „A przybliżywszy się, zawiązał rany jego." (Łuk. X. 34.) Sens tego zdania nas poucza, jak się starać o zbawienie duszy naszych bliźnich.

I. Jak się zbliżać do chorego na duszy?

IŁOSIERNY Samarytańin przybliżył się do pobitego przez zbójce. „A przybliżywszy się, zawiązał rany jego." — W leczeniu ran duszy sposób zbliżania się do chorego jest nadzwyczajnej doniosłości i od niego cała nieraz kuracja zależy. — Jak się więc zbliżać? Żeby się do kogo zbliżyć, trzeba najpierw r u s z y ć s i ę z m i e j s c a, w y j ś ć. Co to znaczy w sensie moralnym? Bardzo wielu mogłoby oddać znakomite usługi w leczeniu duszy bliźniego, ale niechce się im ruszyć, wyjść z miejsca, rozpocząć pracę. „Co on mię obchodzi? mówią. Czy on wart mojej troskliwości — jak sobie posłał, niech się tak wyśpi. Inni tego nie czynią, na co ja się mam narażać?" Tak lub podobnie myślą i mówią w swojem samolubstwie i zasklepieniu, podobnie jak starozakonny kapłan i lewita w tej przypowieści uczynili, nad czem poprzednio

zastanawialiśmy się dłużej. I tak obok nich w sąsiedztwie ginie moralnie wielu zaniedbanych biedaków, a nawet w ich domu grzech zbiera żniwo i zabija pod ich okiem dusze rozpustą, pijaństwem, bluźnierstwem i innymi występkami. Oni zaś obojętnie na ten rozbój grzechowy patrzą i może nawet ośmielają występnych i złym przykładem do zbrodni się przyczyniają. — Żeby się zbliżyć, trzeba wyjść, ale po drugie, nie w sposób niewłaściwy. Uważajmy, jak doktor czyni. Czy zbliża się do chorego z krzykiem, hałasem, z wyrazem twarzy szorstkim i zgniewanym? Czy się zbliża z postawą dumną, sztywną, jakby łaskę świadczył choremu, że się chce nim zajmować? Czy wtedy, gdy widzi, że chory jest rozdrażniony, odpycha wszystkich od siebie? — Nie. Doktor inaczej postępuje. Zbliża się, jak do brata i przyjaciela z miłym uśmiechem, z wyrazem twarzy, co choremu otuchę i nadzieję wlewa, ze współczuciem, co ból chorego zmniejsza i wtedy, gdy pacjent spokojny i radby się z nim widzieć.

Tak też do chorego na duszy trzeba się zbliżać. Nie właściwy to sposób, gdy drugiego chcemy poprawić krzykiem, przekleństwem, zniewagą i ostrem napomnieniem. Wtedy ostrze na ostrze wpada i obydwa się wyszczerbiają. — Ani duma, ani wyniosłość nasza nie trafi mu do serca, gdy zauważy, że jakbyśmy mu łaskę świadczyli, zbliżając się do niego. Podajmy mu rękę, ale jak bratu, a nie tak jak pan ambitny, co raczy słudze łaskawie słówko

rzucić, aby swoją popularność czyli wziętość okazać i być chwalonym.

Jakże właściwie się zbliżać?

Miej serce życzliwe, otwarte, wyrozumiałe na cudze błędy i okaż je słowami, co potrafią twoje braterskie uczucia jaknajczulej wyrazić. Szukaj w nim, coby mogło zaufanie ku tobie wzbudzić. Nie wszystko w twoim błądzącym bracie jest naganne i karygodne. Ma on pewne zalety, na które trzeba oko zwrócić, podnieść, pochwalić. Użyj ich jako nici, by się dostać do kłębka. Twój duchowny pacjent pomyśli sobie: jeszcze nie tak źle ze mną, jak myślałem i jak inni o mnie sądzili. Nabierze otuchy i zaufania i już najważniejszy krok postawiony. Masz go w ręku i możesz o innych środkach myśleć. O jakich? Podaj mu dobrą książkę. A czy przeczyta? Gdy jego miłość i życzliwość masz zapewnioną, on cię usłucha i zrobi, co każesz. Otocz go też zacnymi i roztropnymi przyjaciółmi. Tacy ludzie, to podatna i żyzna ziemia, z której to słabe drzewko nabierze pokarmu duchownego. I tak pociągnięty w dobrą i zdrową atmosferę, nabierze siły, że i sam wkrótce innych do Boga pociągnie. Zwyczajnie ci, co fałszywemi drogami chodzili, po swojem nawróceniu skuteczniejszy wpływ wywierają na drugich i łatwiej błądzącym wskażą drogę do Boga.

II. Jak rany obwiązywać?

„A przybliżywszy się, zawiązał rany jego." Gdy się potrafimy zgrabnie do chorego na du-

szy zbliżyć, nie trudno nam będzie rany jego obwiązać. Różne są rany w duszy, różnej więc wymagają kuracji. O wszystkich niepodobna nam mówić. Weźmy pod obserwację dwie najpowszechniejsze: Niedowiarstwo czyli obojętność religijną i smutny nastrój ducha.

Niedowiarstwo czyli obojętność religijna jest taką raną, co przedewszystkiem potrzebuje czystego, świeżego powietrza i kąpieli. Co to znaczy? Dusza niedowiarka podobna jest do knajpy, gdzie przy zasuniętych okiennicach siedzą pijacy i gracze w karty. Tak tam ciemno od cygar i od fajek, że się nie mogą dobrze widzieć, a taki fetor, że mdłości sprawia. Oni jednak tego nie czują. —Czego trzeba, żeby im było jasno? Okiennice odsunąć, okna otworzyć, a dym z fetorem wyjdzie i czyste najdzie powietrze. — Czego trzeba u niedowiarków, aby dym i zamglenie prawd Boskich z ich duszy wyszło i światło wiary weszło? Odsunąć okiennice namiętności, aby się ulotnił dym nieczystości i innych brudnych zasłon. Znajdzie się tem samem światło wiary. Błogosławieni czystego serca, bo oni Boga oglądają."

Oglądają Go już tu na ziemi przez żywszą wiarę. — Pomóż zatem niedowiarkowi odsunąć okiennice i zaprowadź do łaźni, aby przy spowiedzi swe serce umył.

Jakiego znowu obwiązania potrzebują ci, co się oddają smutkom i melancholji? Trzeba wybadać, skąd te rany biorą początek? Może to być nerwowość z przepracowania i z

bezsenności — przyczyny fizyczne. Trzeba zatem środków fizycznych to jest poradzić biedakowi, aby tak wiele niepracował lub zmienił pracę i stosował się do rady lekarza. Oddałbyś mu przysługę apostolską, prosząc życzliwego doktora, aby go bezinteresownie wziął w opiekę. — Ta choroba może pochodzić z innych przyczyn n.p. że twój przyjaciel wziął sobie za głęboko obrazę do serca, poddał się desperacji wskutek zawodów i niepowodzeń, utraty drogich osób, zniechęcił się chorobą, kalectwem albo innem nieszczęściem. W tych wypadkach potrzebuje częstej zachęty, pociechy, porady i podniesienia ducha. Trzebaby u niego częściej bywać, rozbijać mu ciemności i przykładać miły plaster przyjacielskiego słowa. Gdy pozna, że mu dobrze życzymy, z nim współczujemy, jego los podzielamy, pójdzie za naszą radą. — Są to proste, skuteczne sposoby leczenia duszy, a ich skuteczność zależy od dobroci naszego serca i wytrwałości. Wytrwałość zaś dopisze, gdy nas Boży duch apostolski ożywi, zaczerpnięty z Boskiego Serca.

XXXI.

O WYDAWANIU NADTO (NAD ZWYŻ).

Uwaga: Posłuchajmy, co mówi Miłosierny Samarytanin do gospodarza, którego opiece powierzył pobitego przez zbójce: „Miej staranie o nim, a jeśli co nadto (nad zwyż) wydasz, ja zwrócę ci, gdy wracać będę." (Łuk. X. 35). W tych słowach będziemy szukać takich, co nadto wydają dla pożytku bliźnich i chwały Bożej i jak im się to wraca?

I. Kto wydaje nadto (nad zwyż)?

gospodarz wziął pod opiekę biedaka pobitego przez zbójce. Dał mu za to Miłosierny Samarytanin dwa grosze i obiecał jeszcze więcej, mówiąc: „Cokolwiek nadto (nad zwyż) wydasz, ja wrócę ci, gdy wracać będę." (Łuk. X. 35.). — Nie wiemy, czy ten gospodarz wydał co nadto, ale wiemy, że ta zachęta zrodziła szczodre dusze, co wiele wydały dla dobra bliźnich i chwały Bożej.—Jakie to?

1. Ci, co wydali i wydają siebie samych, na wzór Boskiego Serca, aby się stać, według nauki św. Pawła „wszystkiem dla wszystkich." Znajdziecie ich w szpitalach przy łożach chorych, w ochronkach w usłudze

sierót, w domach starców, w szkołach parafjalnych, jak wasze dziatki kształcą i wyrabiają na pożytecznych ludzi, zapominając o sobie i swych wygodach, bo się przez śluby zakonne dobrowolnie tego zrzekły, bez czego ludzie światowi, jak mówią, żyć nie mogą. — Znajdziecie ich także w konfesjonałach, gęstym tłumem ludu oblężonych, przy łożu chorych z Olejami świętymi, na ambonie, karmiących słowem Bożem spragnionych, zachęcających do dobrego. — Wyczytacie o nich w „Misjach katolickich," jak o głodzie i chłodzie w opuszszeniu materjalnem znoszą trudy i upał dnia wśród pogan w niedostępnych zamorskich krainach. — Byli i tacy, co sprzedawali swoją wolność, aby niewolników nią obdarzyć.

2. Inni znowu wydają s w o j e m i e n i e. Grosz, czas, siły, rozrywki, odpoczynek idą dla tych, co są w potrzebie. Czasem nawet zdrowie woła o pomoc, a niesie się ją biednym. Wiadomo, np., że niedawno zmarły (1922.) arcybiskup lwowski, X. J. Bilczewski wspaniałe i pouczające wydawał książki i listy pasterskie. Pytano się go: Skąd brał na to czas przy różnych i licznych obowiązkach? „Żałowałem czasu, aby się leczyć, a kładłem go w pisma," odpowiedział. — Znamy i takich, co się wyrzekli kart, teatru, zabaw, wizyt, miłych wycieczek, bo im droższa i milsza była ofiara, jaką z tego oddali pozostającym w nędzy moralnej czy fizycznej. Chodzą do klubów katolickich, na mityngi, zbierają ludzi dobrej woli, przyczyniają się do zakładania bractw i stowarzyszeń,

coby mogły roztaczać opiekę nad biednymi, więźniami i sierotami.

3. Wszyscy wreszcie członkowie Apostolstwa Modlitwy wydają nad zwyż pod pewnym względem t.j. więcej i skuteczniej, niżeli inni. Pracują, modlą się, znoszą przykrości nie tylko dla swego dobra, ale i dla korzyści innych. Inni, co nie należą do Apostolstwa Modlitwy, albo ci, co nie dbają o dobrą intencję w swoich sprawach, pracują tylko dla siebie, dla swych własnych celów, trudzą się samolubnie. Ci zaś, co do Boga wszystko odnoszą, karmią swoim owocem pracy innych. Ich duchowne owoce spożywają oświeceni we wierze poganie, nawróceni heretycy i wielu innych, cierpiących głód bez Boga. Sam Bóg w nich się lubuje, bo patrząc na te owoce, miłosierdziem, litością, błogosławieństwem znowu je zwraca. — Stąd widać,

II. Jak się wraca to, co nad zwyż wydajemy?

Wraca się t u n a z i e m i. Wróciło się Tobjaszowi, co opuszczał lub przerywał posiłek, aby spieszyć grzebać umarłych i biednych wspierać. Nawiedzony ślepotą, niezachwianie swój los dla Boga znosił. Z wielkim pożytkiem i pociechą czyta się w Piśmie św. ową księgę, Tobjaszową zwaną. Młody Tobjasz, co pod przewodnictwem anioła Rafała daleką i niebezpieczną drogę odbył i wiele przez niego dobrodziejstw otrzymał, tak te łaski staremu ojcu wylicza: „Ojcze, co mu za zapłatę damy? Mnie prowadził i przyprowadził zdrowego,

pieniądze od Gabela on odebrał, żonę on mi zjednał i czarta od niej on hamował, radość rodzicom jej uczynił, mnie samego od pożarcia ryby wybawił, tobie też uczynił, że widzisz światłość niebieską i wszego dobra jesteśmy napełnieni przezeń. — Cóż mu za to możemy dać słusznego?" Czy mało się wróciło Tobjaszowi i jego rodzinie?

Wraca się również w parafjach, w rodzinach i u pojedynczych ludzi, co gorliwi kapłani i pobożne inne osoby ku czci Boskiego Serca swoją pracą wkładają. „Mam wprawdzie wiele pracy, mówi niejeden kapłan, bo się ludzie licznie garną do spowiedzi przed pierwszym piątkiem miesiąca, ale mam i pociechę, bo widzę, że poziom moralny w parafji znacznie się podniósł. Lud się skupia przed ołtarzem Boskiego Serca i uspokaja, jakby jedną rodzinę tworzył." — A w domach, gdzie Serce Jezusa hołd odbiera, czy jest mało pociechy? Czy tam słyszysz przekleństwa i bluźnierstwa albo narzekania na dzieci, czy widzisz wstrętne, szatańskie pisma, co zatruwają jadem niezgody serca? Czy raczej nie uderza cię, jak w tym domu panuje miłość, ład i oszczędność. Widząc twarze w nim miłe, wesołe, zadowolone u wszystkich, zda ci się, że to obraz św. Rodziny Nazaretu. — Każdy zyskuje na tem, co Bogu oddał, bo pobożność do wszystkiego pomaga, jak mówi Pismo św. Pobożność, czyli dobre i religijne życie już tu na ziemi ma swój powab, uznanie, szacunek i nagrodę.

Oprócz ziemskiego zysku, wrócą się nasze trudy i poświęcenia w przyszłem życiu. Skorzystają z nich dusze w czyścu. Biednemu więźniowi w kryminale trudno nieraz co podać, bo nie zawsze tam puszczą, a wszystko kontrolują. Uwięzionym duszom w czyścu w każdej chwili da się co przesłać i na pewno je dojdzie. Najdrobniejszy uczynek, krótkie westchnienie odpustowe, akt zwycięstwa siebie samego w gniewie albo w innej pokusie — te i inne małe ofiary wielce się im przysłużą i będą nam zwrócone. Przecież biedne te dusze i o nas nie zapomną, gdy przed obliczem Bożem staną. Czy będziemy kierować i przesyłać nasze dobre uczynki drogą na czyściec, czy wprost na niebo, zawsze się to odpłaci, bo gdy Miłosierny Samarytanin już jako sędzia powróci, wszystko nam zwróci.

AKT POŚWIĘCENIA SIĘ RODZINY NAJŚWIĘTSZEMU SERCU JEZUSOWEMU.

Najświętsze Serce Jezusa! Objawiłeś życzenia swe św. Marji Małgorzacie, że chcesz panować w chrześcijańskich rodzinach. Przychodzimy więc dzisiaj, by uznać całkowite panowanie Twoje nad naszą rodziną. Chcemy odtąd Twojem życiem żyć, chcemy w sobie te cnoty pielęgnować, za które już tu na ziemi pokój obiecałeś, chcemy daleko od siebie odeprzeć ducha tego świata, na który rzuciłeś przekleństwo.

Panuj więc nad naszym rozumem przez prostotę wiary, panuj też przez swą miłość nad sercami naszemi, które niech całkowicie nią zapłoną, a które w Twej żarliwej miłości utrzymać chcemy przez częste przyjmowanie Komunji św.

Racz Boskie Serce, przewodzić naszym zebraniom, pobłogosław nasze duchowne i do-

czesne przedsięwzięcia, rozpraszaj nasze troski, uświęcaj nasze pociechy i łagódź nasze cierpienia. Gdyby zaś który z nas miał kiedyś nieszczęście Cię zasmucić, to przypomnij mu, że Ty, Serce Jezusowe, jesteś dobrotliwe i miłosierne dla grzeszników, żalem przejętych. A gdy przyjdzie godzina rozłąki, gdy śmierć przyjdzie i okryje nas żałobą, chcemy wszyscy, tak ci, co umierają, jak ci, co na tym świecie zostają, poddać się Twym odwiecznym wyrokom. Chcemy się pocieszyć tą myślą, że przyjdzie dzień, kiedy cała rodzina nasza, w niebie złączona, na zawsze sławę Twoją i Twe dobrodziejstwa wychwalać będzie.

Niepokalane Serce Marji i chwalebny Patrjarcha, Józef św. niech Ci przedłożą to poświęcenie, a nam je przypominają przez wszystkie dni życia naszego. Niech żyje Serce Jezusa, naszego Króla i Ojca.

(Odpust zupełny dla członków rodziny w dniu, w którym po spowiedzi i Komunji św. poświęcają się wspólnie Najsł. Sercu Jezusowemu, tudzież raz do roku w dniu, w którym to poświęcenie wspólnie odnawiają). Pius X. 19 maja, 1908.

TEGO SAMEGO AUTORA WYSZŁY NASTĘPUJĄCE PRACE:

1. Podręcznik kaznodziejski na 40-godzinne nabo żeństwo.

   (W Ameryce można nabyć: Polish Americ Publishing Co., 1145 Noble St., Chicago, Ill.)
2. Pogadanka misyjna. (Co to jest misja i jakie niej korzyści?)
3. Dlaczego nie chcesz się spowiadać? (Zarzu przeciw spowiedzi i odpowiedź).
4. Chleb w Kościele. (Czy Kościół chleba nie da
5. Łaska i grzech.
6. Boskie Serce w Przypowieściach. (Siedem p powieści).
7. Badacze biblji—co o nich sądzić?
8. Czy Kościół czy Pismo św. (Kogo Chrystus p stawił za nauczyciela prawdziwej wiary?)
9. Apostół Pensylwanji (Ksiądz Dymitr, August Gallitzin, książe misjonarz.)
10. Instrukcja o Apostolstwie Modlitwy.
11. Miłosierny Samarytanin, czyli Historja Boski Serca.
12. Ksiądz i polityka (Co księdzu do polityki.) (wyczerpane).
13. Oświata (wyczerpane).
14. Zgorszenie (wyczerpane).
15. Niezależni w Ameryce (wyczerpane).

780

Berkeley
LIBRARY OF THE UNIVERSITY OF CALIFORNIA

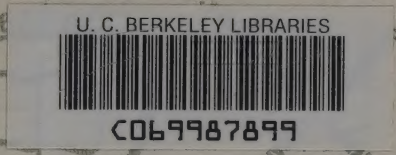
U. C. BERKELEY LIBRARIES
C069987899